

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY



ROK
VIII

Nr.
5

MATER TER. ADMIRABILIS

<http://www.cin.org.pl>

Świat murzyński

Zł. 3.70

Autor—długoletni misjonarz w dalekich krajach—opisuje w swego rodzaju trylogji swą podróż apostolską do Afryki, swój czteroletni pobyt wśród synów Czarnego Łądu, ich życie i obyczaje. Przed oczyma czytelnika przesuwa się ów egzotyczny świat murzyński tak plastycznie przedstawiony, jak gdyby polski czytelnik razem z misjonarzem wędrował.

Ks. Józef Spillmann

Tajemnica spowiedzi

Zł. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które — można powiedzieć — nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

Czy wiesz, ←

→ że

potęga Katolicyzmu w Polsce jest zależna od potężnej katolickiej prasy?

Dlatego czytaj i rozpowszechniaj
PISMA KATOLICKIE!

Najmilszem pismem dla dzieci jest

MAŁY APOSTOŁ

Dziecko, które dostaje go raz do ręki, staje się jego wiernym przyjacielem.

Niska prenumerata, 1,70 zł. rocznie, umożliwia jego czytanie wszystkim. Pożytek wielki.

Zamawiać pod adresem:

Mały Apostoł Warszawa
Krak. Przedmieście 71.

Popierajcie L. O. P. P.

CZYTAJcie I ROZPOWSZECHNIAJcie „RODZINĘ POLSKĄ”

Cena ogłoszeń zalekstwowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO aru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA



MIEŚCZNIK
ILUSTROWANY



ROK VIII. WARSZAWA, MAJ 1934.



*WIOSNA IDZIE PRZEZ ŚWIAT..
PRZEZ ŁĄKI, POLA, DĄBROWY
PRZEZ GAŚCZ LEŚNĄ..
WIOSNA IDZIE...*

BOLSZEWIZM SIĘ PRZEŻYWA

Nie ulega przecież wątpliwości, że dana jest człowiekowi świadomość i tęsknota do absolutnych wartości moralnych, rozum nasz pojmuje jej doniosłość, a serce ożywia pragnienie jej osiągnięcia. Żyje w każdym z nas pragnienie do sprawiedliwości i dlatego człowiek buntuje się przeciw różnym próbom balwochwalstwa reżymu burżuazyjnego czy proletariackiego, oba one uwielbiają zresztą brutalną siłę: pieniądza jedno, pięści drugie. Nieposkromiony indywidualizm jak i rozkiełzana stadowość są jednakowo groźne dla jednostek, jak i społeczeństw. Jest to dalekie od ideału harmonii społecznej, wspartej na prawie moralnym.

Niestety, świat uporczywie posługuje się walutą pojęć i celów społecznych, politycznych i ekonomicznych, która nie posiada pełnego pokrycia prawdy moralnej. Ten parytet etyczny wśród fluktuacji historycznych ulega ustawicznemu wahaniom, w zależności od tego jaki kierunek społeczny bierze górę. Spada też nieraz poniżej wymaganego przez zdrowy rozsądek minimum.

Pesymiści głoszą wówczas, że cywilizacji grozi absolutna zagłada. Lecz duch ludzki, dzięki wlanej przez Stwórcę dążności do doskonałości, pragnie dobra i dąży doń. Kiedy więc złe skłonności niebezpiecznie obniżyły parytet pojęć i poziom życia społecznego — następuje reakcja. Instynkt samozachowawczy człowieka, to, obok sumienia, naturalne narzędzie działania dobra — skłania nas do rewizji pojęć, do odrzucenia wszelkiego śmiecia zużytych i zdemaskowanych pseudowartości. Słowem, po groźnej fali inflacji bezwartościowych haseł następuje kompresja i deflacja moralna. Świat wraca do równowagi. Nietylko zostaje przywrócony dawny parytet uznanych już przedtem zasad moralnych, ale nawet pojawia się skłonność do głębszego ujmowania zjawisk w świetle moralnych prawd. W wyniku — ludzkość osiąga wyższy stopień swego moralnego i społecznego rozwoju. Baudelaire słusznie powiada, że „istota cywilizacji nie polega ani na gazie, ani na elektryczności, lecz na zmniejszaniu się śladów grzechu pierworodnego“, słowem, na zdolności ujmowania życia w karby coraz doskonalej praktykowanych zasad moralnych.

Rzeczy przemijające i zużyte zostały odrzucone, rzeczy wartościowe włączone do kapitału obrotowego kultury.

Obecnie przeżywamy czasy, w których odczuwa się groźne załamanie kursu życia. Konieczną więc jest rzeczą rewizja skarba obowiązujących pojęć i wyrównanie niedoborów, tych wszystkich wyłomów, które inwazja obcych amoralnych pierwiastków wywołała.

Jasna rzecz, że przy tej czynności nie można przeoczyć tego, co stanowi podstawę, niejako „kapitał zakładowy idei“ naszej europejskiej kultury. Byłoby więc nietylko nonsensem, ale i wprost zbrodnią przeciw tej kulturze, uznanie za jej podstawę poglądu materialistycznego. Kultura nasza jest duchowa, ma przez chrześcijaństwo nadaną jej dążność do ideowego doskonalenia się i na tem opiera się jej zdolność opanowywania czynników materialnych. Można by to wyrazić w rzekomym paradoksie, że im bardziej będzie ona idealistyczna, tem lepiej będzie zagospodarowana materialnie. Kiedy zaś zapomni o duchowych sprawach pograży się w chaosie zdeorganizowanej materji. Gwarrantją utrzymania jak największego standardu życia

materjalnego jest trwałość i poszanowanie dla standardu duchowego.

Kto mniema, że człowiek jako rodzaj najwyższy zwierzęcia czy „myślącego automatu“ (tak brzmi termin bolszewickiej filozofji) — zdoła opanować ziemię, ten stawia wszystko na głowie, usiłuje odwrócić nurt życia i pograżyć je w czasy barbarzyństwa, kiedy jeszcze nie zabłysła gwiazda ideału metafizycznego.

Nie ulega jednak wątpliwości, że do tej skarbnicy prawd nadprzyrodzonych dokonano licznych włamań, że złoczyńcy usiłowali rozgrabić, zdyskredytować i zafałszować wiele prawd. Walnie przyczynił się do tego cały racjonalistyczny idealizm, wywodzący się od Kanta i Hegla.

Skutki wpływów tego racjonalizmu odczuwa się we wszystkich dziedzinach życia, politycznego, społecznego, kulturalnego. W stosunkach społecznych doprowadził on do władzy iście tyrańskiej „mamony niesprawiedliwości“, którą tak kategorycznie i jasno piętnuje J. Em. kardynał Hlond w swem ostatnim orędziu. Jako reakcja, bezmyślna w swej krańcowości, powstał socjalizm.

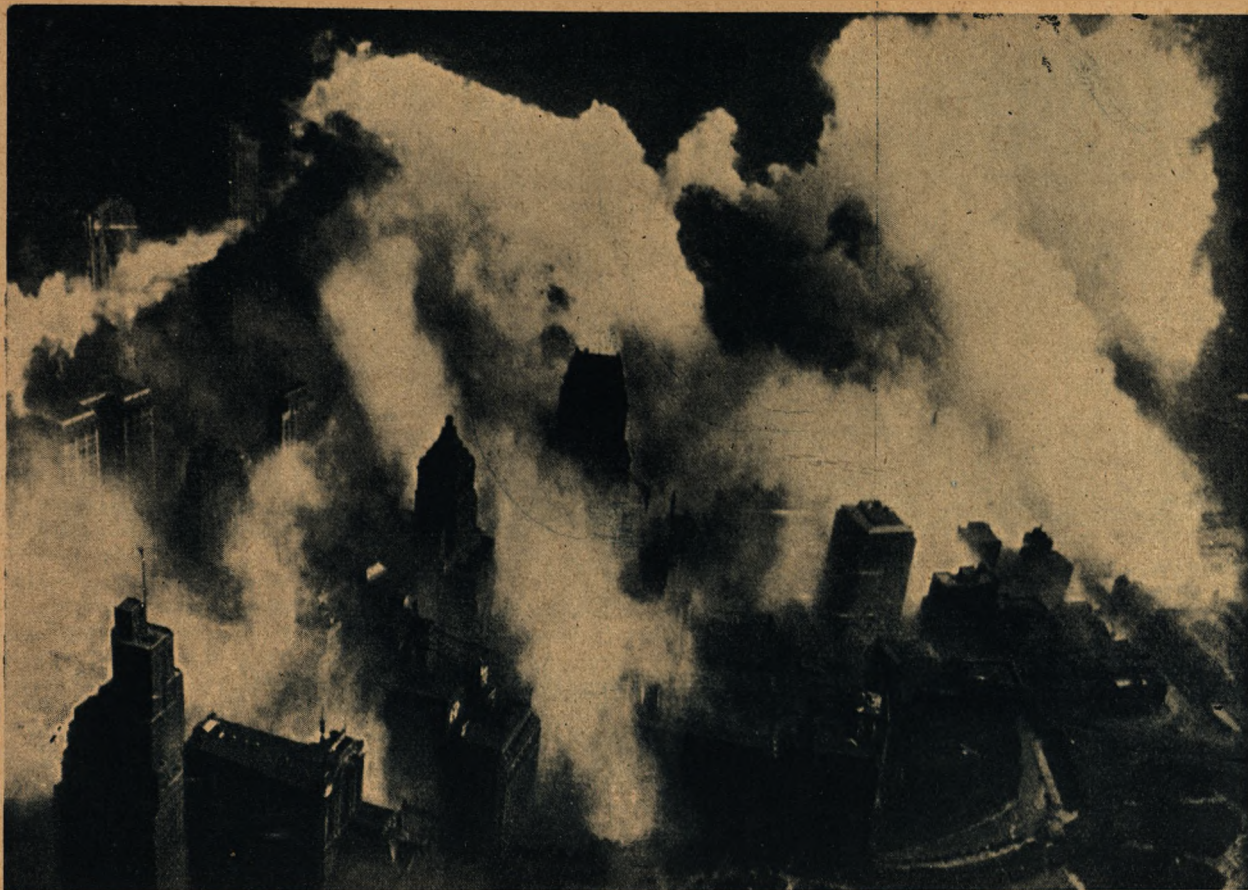
Oba te kierunki walczą zajadłe o władzę nad ziemią. Przewaga i moc kapitalizmu wynika z oparcia na przyrodzonym prawie własności (niestety, pojęciem jako przywilej wybranych). Powodzenie socjalizmu wśród mas niewątpliwie jest skutkiem, że ogromna większość ludzkości nie jest w stanie należycie zaspokoić tego przyrodzonego prawa i potrzeby własności indywidualnej. Obecny ustrój gospodarczy, opanowany przez anonimowy kapitał, jakkolwiek oparty o słuszną zasadę, nie zapewnia jednak należytego jej wypełnienia w interesie najszerzych warstw społecznych. W takich warunkach trudno się dziwić, że niektórzy podają w wątpliwość prawo własności indywidualnej, dochodząc aż do absurdalnego frazesu Proudhona, że „własność to kradzież“.

Na tle walki tych dwu sprzecznych tendencji wyrasta kryzys zaufania, podaje się w wątpliwość wszystkie prawdy i prawa. Jedni je atakują w praktycznej akcji politycznej, drudzy w działalności naukowej, pod ich wpływem następuje zwątpienie w podstawowe prawdy ekonomiczne, nawet wśród tych, którzy całą swą egzystencję na ich działaniu opierają. Powstaje defetyzm, który dezorganizuje od wewnątrz szeregi przedstawicieli ustroju, opartego na prawie własności indywidualnej.

Kryzys obecny, to kryzys zaufania, wynika on z braku zaufania do naturalnych podstaw współczesnej gospodarki. Tychczasem atmosfera zaufania niezbędna jest dla zabezpieczenia ciągłości życia społeczno-gospodarczego. Do wywołania uczucia niepewności obok anonimowych finansów, niewątpliwie najbardziej przyczynia się socjalizm, gdyż godzi on w podstawowe naturalne prawo własności, która wynika nietylko z realnych, ale i z duchowych potrzeb człowieka.

Inna jest rzecz, że współczesny ustrój gospodarczy, ujęty w karby wielkokapitalistycznej gospodarki, nie daje należytej gwarancji zaspokojenia tej naturalnej dążności ludzkiej.

Mając na uwadze tę dążność, musimy tembardziej dojsć do wniosku, że socjalistyczne, czy komunistyczne rozwiązanie, znoszące własność indywidualną, jest niedo-



przyjęcia, jako sprzeczne z naturą ludzką, logiką dziejów świata, całą, tysiącami lat urabianą, strukturą społeczną. Praw natury żadną doktryną nie da się obalić, a marksovska interpretacja historii nie wytrzymała w swej całości krytyki życia. Marks, widząc rozhukaną rzekę materialnych interesów, uznał samo jej społeczne koryto za podstawę i sprawdzian polityczny, kulturalny i moralny. W olbrzymiej masie wód społecznego życia nie dostrzegł indywidualności, rządzących się naturalnym prawem własności osobistej — co niewątpliwie musi decydować o sile i kierunku nurtu rzeki. Postawił ideał komuny, który miał wyobrażać wyższy poziom życia, i przez to przekreślił jedyny wniosek, narzucający się z sumiennego studjum dziejów ludzkich, że właśnie podeptanie wolności osobistej i własności indywidualnej pogrąża ludzkość w zamęt społeczny i gospodarczy.

Tępy doktryneryzm usiłuje zdeptać życie. Kiedy jednemu z komisarzy sowieckich zwrócono uwagę, że jakaś ustawa nie da się wykonać, gdyż nie pozwala na to życie — odparł: „Życie nie należy do mojego reortu“.

To jawne naigrzanie się z życia sprzyrzyło się nawet młodemu pokoleniu bolszewickiemu, które ma już po uszy doktrynerstwa. „Zjedliśmy więcej propagandy komunistycznej, niż chleba“ — powiada Borys Baszanow, b. sekretarz Stalina, który uciekł z Rosji. „My młodzi mamy dość bolszewickich prawd“. Ludzie z kierownictwa partji, armji, z komisarjatów ludowych, specy już w duchu przygotowują się do kontrrewolucji. *Wszyscy wierzą, że do szczęścia Rosji niezbędny jest upadek bolszewizmu.*

„Wypada stwierdzić, że państwo sowieckie pomimo wszystkich błędów, zbudowane jest logicznie. Gdybyśmy się chcieli zgodzić z Marksem, że każdy człowiek

jest równy drugiemu i że mechaniczna praca jest jedyną rzeczywistą wartością na tym świecie, to wówczas musielibyśmy logicznie dojść do wniosku, że jedynie tylko robotnik i nikt inny może stanowić elitę państwa, gdyż on pracuje w pełnym tego słowa znaczeniu. Równocześnie jednak czuliśmy, i to na własnym ciele, do jakich potworności prowadzi bolszewicki reżym... A może ta „święta“, zasadnicza doktryna jest fałszywa? Nie mało czasu upłynęło, zanim sformułowaliśmy tę heretycką myśl. Dalszy ciąg poszedł już łatwo“.

„Kto stworzył całą kulturę i cywilizację? — ciągnie dalej Baszanow. — Czy Newton, Platon, Napoleon, Einstein, Bleriot, byli robotnikami. Najszacowniejszą rzeczą w świecie była przecież osobista inicjatywa. Także i osobista inicjatywa kapitalisty, który stwarza nowe gałęzie przemysłu, otwiera nowe kraje dla kultury. Ludzie nie są mechanicznie równi. Są ludzie o osobistych walorach, którzy muszą drugim przewodzić. Jeżeli jednak osobiste uzdolnienie jest jedyną rzeczywistą wartością, to społeczeństwo ma przedewszystkiem obowiązek strzec osobistej wolności, nie tylko przeciw tyranji wyższych kast, ale jeszcze bardziej przeciwko instynktowi stadnemu, oraz grubej ignorancji. Tylko nieskrępowana indywidualność, rządy silne, konkurencja wzajemna sił i talentów może ludzkość pchnąć naprzód“.

Niech to wezmą sobie pod uwagę nasi defetyści, którzy już rzyczą o upadku naszej kultury i o nieuchronnym nadejściu nowej komunistycznej ery. Przeciwnie, właśnie poszanowanie całkowitej wolności osobistej i inicjatywy gospodarczej kapitału, oczywiście w zgodzie z wymaganiami etyki — może uratować świat. Trzeba więc dążyć do lepszego kapitalizmu i większej swobody, aby znaleźć wyjście z dzisiejszego chaosu.

ZJAWISKA MISTYCZNE I ICH TŁUMACZENIE

Od jednego z teologów otrzymujemy, prośbę o zaszczenie rozbiór krytyczny ostatniego dzieła ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza „Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenia”. (Wydawn. św. Wojciecha 1933).

I.

W Polsce ukazało się studjum o Konnersreuth, napisane przez o. Siwka T. J. p. t.: „Konnersreuth w świetle nauki i religii”.

Ks. arcybiskup Teodorowicz w szeregu artykułów w „Ateneum Kapłańskim” poddał krytyce pracę o. Siwka. Dotąd panują najbłędniejsze pojęcia o charakterze tej krytyki. Utwierdziło się przekonanie, jakoby ks. arcybiskup stał bezwzględnie jako obrońca nadprzyrodzonego charakteru Konnersreuth, podczas gdy o. Siwek miał za stanowisko krytycyzm naukowy i różne zastrzeżenia, zatrzymujące go od wydania ostatecznego sądu. Tymczasem rzecz się miała odwrotnie, albowiem ks. arcybiskup podnosił z uznaniem niedowierzenie naukowe o. Siwka, twierdząc, że w takich zjawiskach jak Konnersreuth, nigdy nie można być dosyć krytycznym.

Zarzucał tylko o. Siwkowi brak dostatecznego krytycyzmu w ocenie tych zjawisk i zbyt wielką łatwość w uznaniu możliwości ich. I tak np. twierdził w swej książce o. Siwek, że Konnersreuth mogłoby świat z posad wyruszyć, gdyby niejedzenie Teresy Neumann zostało stwierdzone. Tymczasem ks. arcybiskup stwierdził w swoich artykułach, że taki optymizm jest za daleko idący, bo niejedzenie jest tylko jednym ze zjawisk, które niekoniecznie musi mieć charakter nadprzyrodzony. Ks. arcybiskup zastrzegł się kategorycznie, że w meritum sprawy wchodzić nie chce i nie orzeka sam, czy zjawiska w Konnersreuth są prawdziwe, czy też nie.

Z tym brakiem krytycyzmu naukowego łączył ks. arcybiskup wytknięcie książce o. Siwka brak ścisłości w przedstawieniu istotnego stanu rzeczy. O. Siwek nie miał, niestety, czasu na zapoznanie się dokładne ze zjawiskami w Konnersreuth i ks. arcybiskup wykazuje na przykładach z własnej obserwacji, jakoteż i swego towarzysza ks. biskupa Lisowskiego, że stan rzeczy przedstawiony przez o. Siwka, jest niezgodny z rzeczywistością.

To była przewodnia idea szeregu artykułów ks. arcybiskupa, pomieszczonych w „Ateneum”. Ale główna idea tych artykułów tkwiła gdzie indziej. Ks. arcybiskup poddał krytyce same metody naukowe badanych zjawisk mistycznych przez o. Siwka, mianowicie w konkluzji swojej książki orzekł o. Siwek, że wiedza i krytyka w dzisiejszym stanie nauki nic pewnego orzec nie może o zjawiskach w Konnersreuth. Nicby tej konkluzji zarzucić nie było można, gdyby było dostatecznie stwierdzone naukowo ze stanowiska teologii mistycznej. Tymczasem o. Siwek, zapowiedziawszy w tytule rozwiązanie kwestji Konnersreuth ze stanowiska religji, w swej pracy pominął zupełnie te kryteria teologiczne, które jedynie mogą usprawiedliwić albo konkluzję non constat, albo przyjęcie zjawisk w Konnersreuth, jako prawdziwych, lub też ich odrzucenie, jako nieprawdziwych. Tymczasem z własnych słów o. Siwka całkiem jasno wynika, że analizę swoją oparł on jedynie o psychologiczne i psychopatyczne motywy, że więc kryterjów mistycznych nie wziął wcale w rachubę, o czym nawet laik, czytający jego książkę, przekonać się może, zwłaszcza analizę ekstaz i wizji Teresy Neumann, oparł o. Siwek jedynie o analogie psychopatyczne, z wykluczeniem rozstrzygających kryterjów teologicznych.

Jakkolwiek ekstaza sama w sobie nie należy do istoty zjawisk mistycznych, które bez ekstaz zupełnie obejść się mogą, to jednak o ile one są, stwierdzają i oddają świadectwo charakterowi wewnętrznemu istoty zjawisk mistycznych. Ponadto ekstazy, kiedy indziej nieistotne, w życiu mistycznym są tak ze stygmatyzacją złączone, iż

niema stygmatyzacji bez prawdziwych ekstaz. Nadto charakter ekstaz, i to właśnie tych, które są związane ze stygmatyzacją, t. zw. porywem mistycznym, jest nadprzyrodzony. Otóż nie można zapomocą retorty i kliniki orzekać o stanach mistycznych dusz. Nauka mistyczna może wprawdzie i powinna w zjawiskach zewnętrznych mistycznych dla swojego stwierdzenia się posługiwać psychopatją, jako nauką pomocniczą, ale w ostatniej instancji wymykają się te zjawiska z pod wszelkiej kontroli retorty, psychopatji i kliniki.

Z tego względu orzekł ks. arcybiskup, że wolno było o. Siwkowi, oprzeć się tylko na kryterjach psychologii i psychopatji, gdyby był ograniczył się do dorzucenia materiału psychopatycznego do istotnej analizy tych zjawisk. Ale o ile książka o. Siwka zapowiadała rozwiązanie problemu religijnego, to ze stanowiska ścisłej nauki, jak teologia, pominięcie kryterjów mistycznych w analizie mistycznej naukowo usprawiedliwić się nie da. Każdy bowiem dział wiedzy rozstrzyga o zjawiskach swego zakresu a innemi dziełami wiedzy posługuje się tylko jako środkami pomocniczymi. Ekstazy św. Teresy miały analogie psychopatyczne i tylko zapomocą kryterjów mistycznych orzekał Kościół, że wśród podobieństw były różnice istotne i zupełne. Dzisiaj potrzebę kryterjów mistycznych w badaniu zjawisk mistycznych poczyna uznawać nawet wiedza agnostyczna.

Jeżeliby było dopuszczalne stanowisko, które podtrzymuje usilnie stary racjonalizm, że analogie psychopatyczne rozstrzygają o mistyce, to wtedy sąd o zjawiskach mistycznych byłby wydarty z rąk mistyki a zdany wyłącznie psychopatji.

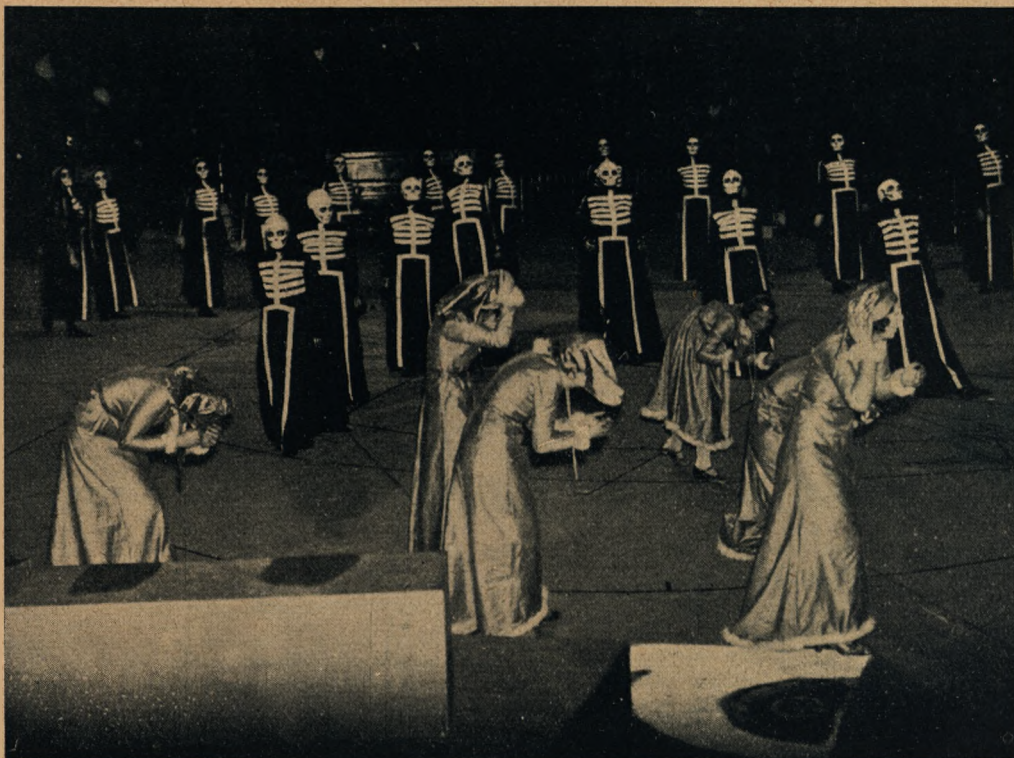
O. Siwek napisał w obronie swojej książki p. t. „Metody badań zjawisk nadprzyrodzonych”. Na tę książkę ks. arcybiskup odpisał dużem dziełem, w którym nie zamknął się w granicach polemicznych, ale rozebrał zjawiska mistyczne i wyłożył zasadnicze idee mistyki. Stąd dzieło ks. arcybiskupa dlatego właśnie, że sięga daleko poza granice rozprawy z o. Siwką, ma znaczenie daleko szersze i ogólniejsze, aniżeli sam problem Konnersreuth. O ile to dzieło rozprawia się z książką o. Siwka, to autor stwierdza tylko z bardzo dokładną analizą i zestawieniem tekstów poprzedniej swej rozprawy i odpowiedzi o. Siwka, że nowa książka o. Siwka jest tylko potwierdzeniem zarzutów, stawianych o. Siwkowi przez ks. arcybiskupa.

II.

Na tle tych rozpraw spornych dotyka ks. arcybiskup i rozwija cały szereg ogólnych problemów mistycznych, które mają już wartość trwałą, a więc mówi o mistyce jako o nauce eksperymentalnej Ducha Św., w której się liczyć należy z coraz to nowemi objawami mistycznymi, nie można zaś ich zamknąć w pewnego rodzaju numerus clausus, twierdząc, że jakieś zjawisko mistyczne dlatego jest niemożliwe, gdyż go dotąd nie było. Rozwija ks. arcybiskup szeroko samą ideę ekstazy mistycznej, wykazując jej ścisłą łączność z wewnętrznymi stanami mistycznymi z jednej strony a ze stygmatyzacją i wizjami z drugiej.

Mówi i rozwija idee darów darmo danych, przeprowadzając harmonję i łączność między temi darami a wewnętrzną świętością i stygmatyzacją. Rozprawia się szeroko ks. arcybiskup, powołując się na Benedykta XIV i najnowszych pisarzy mistycznych o związku choroby i ekstazy, w szczególności hysterji a ekstazy. Dziś — pisze ks. arcybiskup — nawet nauka agnostyczna już przysłała do przekonania, że jak genjusz może tworzyć pomimo choroby i pomimo hysterji, podobnie można mówić o działaniu wyższem i prawdziwem pomimo stanów choroby.

Scena z misterjum „Kto-
kolwiek” odegranego w
londyńskim cyrku



Nie o to w tych wypadkach idzie, czy dana osoba ma histerję, albo o to, czy fizycznie stan histeryczny zwyciężyła i pokonała duchowem wyrobieniem i pracą. Rozprawia się też szeroko o charakterze cudów, o tem, co wedle Benedykta XIV należy rozumieć przez nagłość uzdrowień, o rozróżnieniu niezbędnem pomiędzy ustaniem samej choroby w drodze nadprzyrodzonej a już wolnym od choroby, ale trwającym jeszcze osłabieniem ciała. Wykazuje też; powołując się na takie powagi, jak o. Garrigou-Lagrange, jak kardynał Zigliara, jak nowsi pisarze teologiczni, że do cudu t. zw. trzeciego rzędu nie jest wymagana pewność bezwzględna i matematyczna, ale wystarcza pewność moralna.

Dlatego też chociażby nawet analiza medyczna nie była w stanie doprowadzić do niezbitego wniosku, czy jakieś uzdrowienie jest nadprzyrodzone, to jeżeli temu uzdrowieniu towarzyszą inne czynniki moralne, to może być jednak mimo to osiągnięta pewność moralna, iż jakieś uzdrowienie jest nadprzyrodzone. Stosuje się to do Konnersreuth, gdzie uzdrowieniom Teresy Neumann towarzyszyły zapowiedzi zgóry w czasie ekstaz, wbrew wszelkim opinjom lekarskim, że się np. bez operacji ślepej kieszki obejdzie i gdzie tym uzdrowieniom towarzyszył cały szereg wizyj, w których został jej wypracowany plan całego jej życia i przyszłej jej misji, na jaki sama nigdy wpaść nie mogła.

Osobny, bardzo obszerny rozdział poświęca ks. arcybiskup karykaturze z Konnersreuth, zarzucając o. Siwkowi, że sylwetkę moralną Teresy Neumann i całego jej środowiska oparł przeważnie o anegdota anonimowe, które każdy poważny badacz zawsze odrzuca, a równocześnie zignorował świadectwa autentyczne i poważne, wśród których wymienia także świadectwa księży biskupów. Zwraca ks. arcybiskup uwagę na list, który otrzymał z konsystorza regensburskiego o ostatniej pracy o. Siwka, w którym wyrażono głęboki żal, że autor wziął się do badania rzeczy bez znajomości sprawy, przez co należy do rzędu tych, którzy zamiast wyjaśnić problem właściwy, jeszcze go zaciemniają. Kończy ks. arcybiskup tem, że bez względu na to, czy ktoś wierzy w Konnersreuth czy nie, powinien jednak do badań przystępować z godnością i powagą; tembardziej odnosi się to do badacza, który nie wyklucza interwencji Bożej w zjawiskach Konnersreuth.

Przy tej sposobności należy podnieść pracę o Konnersreuth i uwagi nad wyraz dla Konnersreuth życzliwe uczynego ks. biskupa Waitza, kardynała Faulhabera i arcybiskupa praskiego Kaspara; przytem wybija się na czoło krytyka o Konnersreuth jezuita o. Marechal, wybitnego uczonego światowej sławy i to właśnie w dziedzinie psychologii religijnej, który między innymi, pisząc o niektórych krytykach, kierowanych „pozałowania godnymi uprzedzeniami”, jeszcze ma dla nich pewne względy, twierdząc, że mimo to ich krytyka nie jest jeszcze „koniecznie nieuczciwą w metodzie swojej”. Natomiast inaczej się wyraża o krytykach, którzy szerzą fałszywe wieści o wizjonerce. Pisze on: „Gorszemi zdają się być fałszywe wieści, szerzone perjodycznie o wizjonerce, fantastyczne prorocтва, kolportowane w jej imieniu: czasami i katolicy ulegają wrażeniu takiej piany (écume), za którą nikt z otoczenia Teresy nie ponosi odpowiedzialności”¹⁾.

Przestrzega też ks. arcybiskup w badaniach przed modnym dziś psychologizmem, w którym autorzy dostrajają do swoich systemów i też zgóry powziętych z fantazji, stany dusz osób przez siebie badanych; dzisiaj zwłaszcza, gdzie te metody takie szkody wyrządzają w wychowaniu badacz katolicki powinien być w tym względzie szczególnie ostrożnym.

Wartość dzieła ks. arcybiskupa pozostanie ta sama, bez względu na to, czy w przyszłości zjawiska w Konnersreuth zostaną uznane za nadprzyrodzone, czy też nie. Dyskusja dotyczy jedynie metody badań tych zjawisk.

Ostatnia praca ks. arcybiskupa, jednego z największych uczonych polskich, zadziwiająca ogromem erudycji, znajomością przedmiotu i bystrością umysłu krytyka, jest pisana w tonie polemicznym, ale spokojnie, rzeczowo, krytycznie. Autor zatytułował ją tak samo, jak artykuły „Ateneum Kapłańskiego”, chcąc przez to zaznaczyć, że stoi niewzruszenie na tem samym stanowisku. W tytule nie zamieścił wzmianki o polemice, aby dać poznać, że zajmuje się problemem zjawisk nadprzyrodzonych wogóle.

Należy się wdzięczność o. Siwkowi, że wywołał dyskusję, która była okazją narodzin tak wielkiego dzieła. Felix culpa”...²⁾.

1) X. Arcyb. Teodorowicz, Zjawiska mistyczne..., str. 367.

2) Szkoła Chrystusowa, listopad 1933, str. 218—221.

LITEWSKI AUTOGRAF MICKIEWICZA

CZY WIESZCZ UMIAŁ PO LITEWSKU?

Przez córkę poety, p. Marję Gorecką odkryty został w Muzeum Mickiewiczowskim w Paryżu zapomniany już jedyny znany autograf Mickiewicza po litewsku. Władysław Mickiewicz, spisując sprzęt pamiętek w roku 1908, zanotował także ten autograf i zaopatrzył go następującą adnotacją: „Adam Mickiewicz lubił słuchać starego przyjaciela Korylskiego, śpiewającego mu litewskie pieśni ludowe. Pewnego razu wszczęła się dyskusja o jakiejś piosnce. Mickiewicz wziął za pióro i jedną spamiętaną zwrotkę rzucił na papier”¹⁾.

Odkrycie to nasunęło przypuszczenie, że Mickiewicz umiał po litewsku. Może nawet władał tym językiem? Domniemania szły bardzo daleko.

Oryginalność dokumentu została dowiedziona. Niema podstaw, aby przypuszczać, iż jest to apokryf. Autentyczność autografu stwierdziły również dzieci poety. Chodziło zatem o przeprowadzenie badań, skąd spod pióra Mickiewicza mogły wyjść strofy litewskie. Takie ścisłe, naukowe badanie autografu przeprowadzili pp. Michał Brensztejn i prof. Jan Otrębski²⁾.

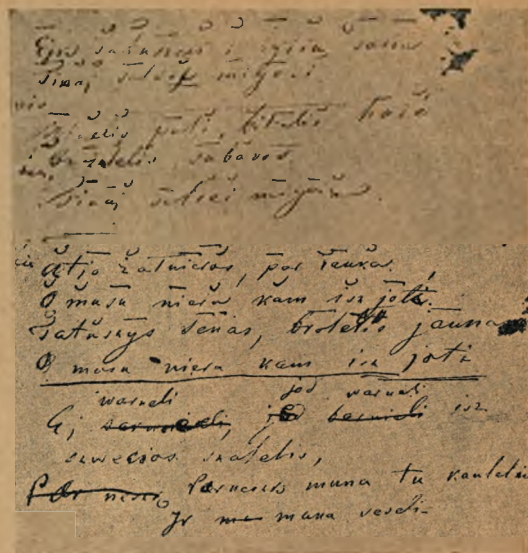
Przedewszystkiem więc — kto był ów Korylski. Na prośbę p. M. Brensztejna Władysław Mickiewicz nadesłał był z Paryża następujące wiadomości uzupełniające: „Bywał u ś. p. ojca mego Korylski, który grywał z nim wieczorami w szachy, a czasem śpiewał piosenki ludowe polskie i litewskie. Zdarzyło się, że kiedy śpiewał piosenkę litewską, ś. p. ojciec mój przerwał mu uwagą, że jedną zwrotkę niedokładnie powtarza i sprostowanie to napisał. Siostra moja (Marja Gorecka) ćwiartkę tę papieru zachowała, ale ani ona, ani ja nie wiemy, czy ś. p. ojciec nasz umiał czy nie po litewsku. Zwrotka, którą spamiętał, świadczy, że ten język nie był mu zupełnie obcym. Działo się to na Batignolach rue de la Santé w 1851 czy 1852 r.”

Do listu powyższego dołączył Wł. Mickiewicz zdjęcie fotograficzne autografu naturalnej wielkości. W liście tym jest niejaka sprzeczność. „Język (litewski) nie był mu (Mickiewiczowi) zupełnie obcy”. Jakto? I dzieci poety nic o tem nie wiedziały, czy ojciec zna język litewski czy nie? A okazuje się, że oboje nic nie wiedziały. Logicznie biorąc, wynikałoby

jednak, że skoro poeta mógł poprawiać rodowitego Żmudzina, jakim był ów Korylski, musiał znać język. Wynikają więc dwie alternatywy: albo Wieszczy nie znał litewskiego, zatem nie mógł czynić sprostowań litewskiego tekstu, autograf zaś powstał pod dyktando, albo też Mickiewicz znał litewski, a wtedy już wszystkie koncepcje powstania autografu mogłyby być uzasadnione. Szczegółowa analiza atoli stwierdziła, że autograf pisany był bez znajomości litewskiego, pod dyktando.

Musi oczywiście uderzyć fakt, że syn poety nie wiedział, czy ojciec znał język litewski czy nie. Wł. Mickiewicz wielu rzeczy nie wiedział o swym ojcu. Inne fakty umyślnie zmieniał, przekręcał, zatajał. „Bronzownicze” tendencje syna, podejmowane zresztą ku chwale ojca, zostały już dawno dowiedzione. Mógł on zatem i w cytowanym liście nie pamiętać już, jak to było z powstaniem litewskiego autografu. Niewątpliwie myli się również córka poety, p. Marja Gorecka, która, zapytana o ten sam autograf, odpowiedziała, iż „słyszała, jak ś. p. ojciec poprawił Korylskiego, śpiewającego po litewsku i poprawkę spisał”³⁾.

Korylski ów był to szlachcic ze Żmudzi, biegle władający litewskim. Pierwotne jego nazwisko brzmiało Kobecki, lecz zmienił je z powodu jakichś niesnasek rodzinnych. Miał on jakoby małoletnim synom poety dawać początkowe nauki. Był stałym gościem Adama Mickiewicza w Paryżu. Znał on wybornie dajny litewskie, prymitywne, ludowe piosenki litewskie, które w pewnej mierze zainteresowały w swoim czasie wczesnych romantyków. Wzbudziły one zachwyt w Goethe'em. Herder poświęcił im również dużo uwagi. Przekład literacki Rhesa, ogłoszony w roku 1825 w Królewcu, przyczynił się do tego, że zainicjowane w Wejmarze zamiowanie do szperania w ludowości, znalazło swój wyraz również w transkrypcji niemieckiej kilkunastu dainos. Schiller, Lessing, Chamisso z rozkoszą brali się do wchłaniania w siebie tych tęsknych rapsodów nieznanego bliżej ludu, pełnych niewypowiedzia-



nego uroku poezji, asonansów, rytmu⁴⁾.

Jednym z takich rapsodów ludowych jest dajna, zapisana przez Mickiewicza. Składa się jednak z kilku fragmentów luźnych, pochodzących z kilku różnych dajni. M. Brensztejn przeprowadza niezmiernie interesujące rozważania nad owym Mickiewiczowskim autografem:

„Na podstawie cech charakterystycznych niektórych wyrazów ustalic należy przedewszystkiem, że dochowane w autografie urywki dajni podano w dialekcie żmudzki, czyli dolno-litewskim... Jakoż stwierdzić można bez trudu, a niezbitcie, że pisarz zachowanego autografu dialektu tego nie znał, a tekst pisał nie z pamięci, ale ze słuchu. Już w ogólnym rzucie oka spostrzegamy ujawnioną w autografie niepewność w utrwaleniu chwytanego uchem brzmienia wielu słów. dla zapisującego niezrozumiałych: barniali, barneli, barnieli, wreszcie — warneli. Takich poprawek literalnych jest więcej... Wszystko to są typowe omyłki przy zapisywaniu ze słuchu słów i brzmień skądinąd nieznanych”.

Do analogicznego wniosku, iż autograf pisany był niezawodnie raczej ze słuchu, dochodzi także w swej wnikliwej, fachowej, językowej egzegezie tekstu p. Jan Otrębski.

Skoro więc niezbitcie dowiedziono, że autograf jest autentycznym i że zapewne zapisany został pod dyktando, pozostawała interesująca kwestja, czy Mickiewicz wogóle znał język litewski.

W tej sprawie istnieją dwie opinie różnych osób. opinie najzupełniej ze sobą sprzeczne. I tak Adam Rząrzewski (piszący pod kryptonimem

1) Przegląd Biblioteczny. Warszawa. 1908. Tom. 1.

2) Rozprawy i materiały Wydziału I-go Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie. Tom I. zeszyt 4. M. Brensztejn i J. Otrębski: „Dajny litewskie zapisane przez Adama Mickiewicza”. Wilno. 1927.

3) Ustęp wzięty z listu Wł. Mickiewicza z Paryża dn. 31 sierpnia 1922, adresowanego do prof. St. Pigionia, a udzielonego uprzejmie p. Brensztejnowi.

4) Por. E. M. Schummer: „Nowa Litwa”, str. 77 i tamże przekład dajny St. Miłazewskiego.

Aër), przygotowując przed laty monografię o Mickiewiczu, zasięgał w Paryżu szeregu informacji o Wieszczu. M. in. stwierdza on w r. 1880, iż „Mickiewicz, jak zapewniają ci, którzy go znali dokładnie i blisko, nie umiał po litewsku”.

Wręcz odmenną opinię wygłasza w swych „Wspomnieniach” Alojzy Ligenza Niewiarowicz, autor naogół mało wiarogodny. Pisze on m in., że kiedyś w Paryżu, po wieczery wigilijnej u Mickiewiczów, córka poety, Marja, przy akompaniamencie fortepianu odśpiewała w języku litewskim „pieśń melodyjną... utworzoną nad brzegami Niemna”. Gdy zaś Niewiarowicz, jako pochodzący z „litewskiej Białorusi”, nie zrozumiał jej treści, usłyszał od Mickiewicza wyrzut, iż „nie umie po litewsku”. Oczywiście, wynikałoby stąd logicznie, że Adam Mickiewicz władał litewskim.

Jednakowoż wiarogodność Niewiarowicza została poważnie zakwestjonowana. Prawdopodobny przyjaciel Wieszcza, A. Biergel, notuje na marginesie zachowanego dotąd w Muzeum Mickiewiczowskim egzemplarza pracy Niewiarowicza — „brednie”! Przeciwno niedorzecznym zwierzeniom Niewiarowicza zaprotestowały także dzieci poety.

* * *

Niemniej jednak trudno z drugiej strony twierdzić, że język litewski był zupełnie nieznanym Mickiewiczowi. Pani M. Gorecka pisze w jednym ze swych listów, że „raz powtórzyła zwrotkę litewskiej pieśni”. Skąd mogła się była jej nauczyć? Mickiewicz mógł słyszeć język litewski wśród kolegów uniwersyteckich, w podróżach między Kownem i Wilnem i t. d. „Jako profesor w Collège de France studjował autorów, rozprawiających o języku litewskim, Ecksteina Dankowskiego i in., tematowi temu poświęcił część wykładu z dn. 24 marca 1843 r. W

latach późniejszych zaś u siebie w domu chętnie się przysłuchiwał, gdy mu w tym języku śpiewał dajny Żmudzin Korylski i tekst ich dla pamięci sobie notował”.

Okoliczności te nie stanowią bynajmniej przekonywującego argumentu, któryby upoważniał do twierdzenia, że Adam Mickiewicz władał litewskim. Można stąd wnosić jedynie, że jeżeli wogóle zachodziła jaka znajomość języka litewskiego u Wieszcza, to musiała być bardzo szczupła.

Streszczając naukowe rozważania p. Brensztejna, ustaliliśmy da się niewątpliwie następujące wnioski:

- 1) Dajny zapisane zostały ze słów słyszanych z ust Żmudzina Koberckiego-Korylskiego.
- 2) Zapisał je niewątpliwie sam Mickiewicz.
- 3) Upada wersja (Władysława Mickiewicza) o „poprawianiu” ich przez Mickiewicza.
- 4) Zapisane zostały dajny w narzeczcu żmudzkiem czyli dolno-litewskim.
- 5) Mickiewicz narzeczca tego nie znał.

Prof. J. Otrębski zaś w ten sposób formułuje swój wniosek:

„Sposób przekazania „dajn” nie daje podstawy do twierdzenia, że Mickiewicz język litewski posiadał; przeciwnie, wskazuje raczej na to, że Mickiewicz po litewsku, jeżeli wogóle umiał to — w mojem przekonaniu — niedostatecznie”.

* * *

Bądźcobądź, autograf litewski Mickiewicza stanowi pewnego rodzaju cios

Dowodzi, że jednak tkwiły w poecie jakieś utajone atawistyczne skłonności. Oczywiście, język litewski w owym czasie, oddawna przestał być w użyciu sfer wykształconych, pozostał jeszcze tylko wśród sfery włościain-

skiej. Ogólne zainteresowanie językiem litewskim było więc wówczas takie, jak, powiedzmy, łaciną czy sanskrytem. To zaniedbanie języka litewskiego o wiele dziesiątków lat wstecz stwierdza pisarz litewski XVI wieku, Mikołaj Dauksza: „Z przyrodzenia każdy — pisze Dauksza we wstępie do swego przekładu postylli ks. Wujka. — jako do swej nacji i krwi, tak do swego języka chęć ma większą i mocno się do niego przywiązuje. Lecz to nie tym umysłem mówię, abym miał ganić umiejętność postronnych języków, zwłaszcza polskiego, który nam przez ono miłe zjednoczenie W. Księstwa ze sławną Koroną Polską niemal przyrodzonym jest, ale tylko ganię zbrzydzenie i nieomal odrzucenie języka naszego, własnie litewskiego”.

To niewątpliwie zamiłowanie poety do litewszczyzny jest znamienne. Tem więcej należy ubolewać, że współczesni Litwini w tak żałosny sposób starają się „odpolszczyć” Mickiewicza. Wiele hałasu nie tak dawno wywołał swym „przekładem” Pana Tadeusza prof. Michał Birzyszka, który celowo, umyślnie, perfidnie usunął z tekstu każdy wyraz „Polak”, „Polska”. Nawet sławy kraju, w którym dobrą kawę dają, nie darował tłumacz Polsce.

Takiej kawy jak w Polsce, niema w żadnym kraju.

W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,

Jest do robienia kawy osobna niewiasta, Nazywa się kawiarka i t. d.

Pan Birzyszka przetłumaczył to następująco:

Tokios kavos niekur kitur jau nesimato, Ne pas mus kava daro taip, kaip dar priprate senais laikais Tą darbą dirba kavininke. (Takiej kawy nigdzie indziej już się nie spotyka, gdyż u nas kawę taką robią tak, jak weszło w zwyczaj z dawnych czasów!)

E. M. Schummer.

L A T O

Lato — ognisty gmach,
zielone po bokach drzewa,
w górę, nad jasny dach —
błękitna chorągiew powiewa...

* * *

Otwiera się przed nami lato
jakoby wielki, kwietny step,
jakoweś łąki, pełne kwiatów,
zboża, błyszczące złotą szatą —
nad wszystkim nieba jasny sklep...

Hej na te łąki dalekie
nieś się, hej, duszo!
Gdzie mleczko bieleją mlekiem,
gdzie kwiaty puchem się puszą,
w chłód młodych zbóż,
w woń jędrnych traw,
w to wszystko, o czem zapomnielim już,
a co w nas drga,
co nas gdzieś rwie, —
w ognisty blask,
w błękitów śpiew!

Niechaj nas wiatry przewioną,
obwieje chłód!
Świetlistą nosić się stroną
nad brzegiem wód...
Jako motyle stęsknione,
hej, gnajmy tam,
w tę nieba jasną oponę,
na tych niw blam —
w to morze lećmy rozkoszy
i niech nam myśl się rozproszy
jako blask sam!...

St. Witowski.

WIECZNOŚCI PIEŚŃ...

Wieczności pieśń śpiewają
w blasku słonecznym, góry,
Słucha tej pieśni słońce,
zawisłe pod lazurem.

Słucha tej pieśni słońce,
zawisłe pod błękitem:
Wieczności pieśń śpiewają
Kamienne białe szczyty....

POETA DYPLOMACJI

Min. Barthou, świetny pisarz, błyskotliwy mówca, a przede wszystkim dziennikarz, odrazu z miejsca zdobył sobie prasę. Jakkolwiek na ziemi polskiej stanąłem po raz pierwszy — zaczął — to jednak zarówno jego sentyment jak i zainteresowanie polityczne sprawami Polski są starej daty. Minister przypominał swe wystąpienia w sprawie Polski z okresu wojny i pierwszych lat powojennych. Zawsze za swój pierwszy obowiązek uważał podtrzymywanie przyjaźni i sojuszu francusko-polskiego. Dziś wypełnia go tem łatwiej i chętniej, że w swem przekonaniu jest ministrem pokoju. Pokój — to hasło polityki francuskiej. Francja niczego od nikogo nie chce, a jej przedstawiciel może, powinien i chce głosić pokój. Barthou wierzy w pokój i w to, że wszystkie narody pragną pokoju, że są ożywione dobrą wolą. A co do bezpieczeństwa, o które kto go zapytał, to za- A co do bezpieczeństwa, o które ktoś go zapytał, to za- do właściwych uszu. W ten sposób min. Barthou wyraził zreżymowane komplement pod adresem polskiej polityki pokojowej. Francuski minister jest zdania, że w interesie pokoju należy mocno i zdecydowanie mówić o rozbrojeniu. A rozbrojenie nie oznacza dozbrojenia, o które wołają Niemcy. W tym duchu zredagował swoje noty do „przyjaciół Anglików“, co też wywołało należyte wrażenie. Tym duchem ożywiony jest cały rząd francuski, jakkolwiek, jak z humorem powiada Barthou, jest w nim aż pięciu byłych ministrów spraw zagranicznych. Pogłoski o nieporozumieniach między nimi są kłamstwem. Moi koledzy i przyjaciele-ministrowie — powiada z mocnym akcentem — całkowicie pochwalają moją politykę, a ja wyrażam wspólną wolę rządu i całego narodu francuskiego. Tą wolą rządu jest też utrzymanie jak najlepszych stosunków francusko-polskich. W tym celu właśnie przybyłem do Polski, która jest potężnym mocarstwem i która gra ważną rolę w świecie. Francja jest tego świadoma. Z zadowoleniem mogę podkreślić, że zarówno cała opinia, jak i sfery oficjalne polskie wyraziły nietylko żywy sentyment, ale wyraźną, niezłomną wolę utrzymania i wzmocnienia przyjaźni i sojuszu. Ale znalazłem właściwie to, czego spodziewałem się. Niemniej serdeczne przyjęcie ze strony społeczeństwa głęboko wzruszyło min. Barthou.

Między Polską a Francją niema przecież żadnych spraw spornych. Jeśli Polska zawarła pakt z Niemcami, to miała do tego prawo, tembardziej, że stało się to w interesie pokoju powszechnego. Na sojusz francusko-polski nie należy się zapatrywać jako na formę jakiegoś service, przeciwnie, jest to swobodna kooperacja i koordynacja, gdzie wobec najgłębszej zgodności intencji, wynik musi być też zgodny. Z trzykwateransowych wynurzeń ministra, które słuchacza musiały zachwycić



„bec à Beck” — „dziobek w dziobek” przyjaźnie rozmawiał Barthou i Beck



LOUIS BARTHOU

swą błyskotliwą, wytworną, pełną skrzętego humoru formą, — taka się wyluskuje treść zasadnicza. Główne jej zreby były zresztą wypowiedziane i zarysowane gestem rąk z niezwykłą siłą, świadcząca o niezłomności przekonań i powadze oraz dojrzałości przemyśleń. Jeśli p. Barthou mówił, że może ktoś uważać jego ekspozycję za wynik bezsennej nocy, wśród której starannie cyzelował każde słowo, to o tyle miał rację, że u podstaw jego wynurzeń była niejedna noc i niejedna nieustrudzony dzień, były doświadczenia paru ostatnich dziesiątków lat polityki francuskiej w jej dojrzałym stylu, polityki, w której brał udział i on sam, jako sygnatariusz traktatu wersalskiego, a także jako minister wojny, świadomy znaczenia polskiej siły militarnej w tej części Europy, tej siły, która jest gwarancją pokoju, a p. Barthou nie darmo przecież siebie nazywa ministrem pokoju! Gdy obwożąc po polach bitew Piłsudskiego, marszałka Polski i Francji, pokazywał mu ruiny Francji pod nawałą teutońską, to w owej chwili musiał zrozumieć, że bezpieczeństwo Francji ma swój pierwszy posterunek nad Wisłą. P. Barthou dziś ma możliwość realizowania tego, co stanowi dorobek jego doświadczenia politycznego i naprawienia błędów „swoich przyjaciół i kolegów“, jak choćby zmarły Aristydes Briand. Z tą misją przyjechał do Polski, pożegnany na dworcu paryskim przez naszego ambasadora Chłapowskiego, z tych Chłapowskich, z których jeden odpowiedział kiedyś Napoleonowi: Le Polonais passe partout. My może będziemy mieli możliwość zanotowania z zadowoleniem: Par la Pologne passe Barthou! Kiedy patrzyłem na niego, gdy ożywiony przemawiał i czarował mae-strją mówcy, pomyślałem sobie: co za poeta dyplomacji! Jakże znakomity przedstawiciel geniusza francuskiej rasy. Lecz z tej poezji przy twardej i szczerej woli obu stron może być pożywny chleb sojuszu na długie lata! Miejmy nadzieję, że tak będzie.

J. St. Czarnecki.



Sasanki. zwiastuny wiosny...



KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY

W tych dniach mija dokładnie lat 10 od chwili, kiedy wrócił z kaźni bolszewickiej arcybiskup Jan Cieplak. Imię to wówczas stało się hasłem dnia dla całej Polski. Zgotowała też ona swemu szlachetnemu synowi gorące powitanie. Podróż ks. arcybiskupa od naszej północnej granicy, przez Wilno, które jak było pierwszym tak stać się miało i ostatnim etapem jego ziemskiej wędrówki przez ojczyznę, podróż ta stała się jednym triumfalnym pochodem niezłomnego księcia Kościoła. Naród znalazł w nim idealne wcielenie swego szczytnego patriotyzmu i swej gorącej wiary katolickiej. Więc pochyliły się czoła i zadrgały żywiej serca na widok tego, który całym swym życiem, uwieńczonym ciężką, męczeńską wprost próbą z ręki czerwonych prześladowców wiary, dowiódł wielkości charakteru i nieustraszonej postawy w obronie najświętszych zasad.

Wracał do kraju ten, który jako kapłan katolicki, a skolei biskup powszechnego Kościoła trwał przez dziesiątki lat na trudnym i odpowiedzialnym posterunku apostołskim i niezależnie od niesprzyjających okoliczności, wbrew zamachom wrogów wiary, rozszerzał i umacniał jej światło po bezkresie wielkiego państwa białych a potem czerwonych carów, od brzegów morza Bałtyckiego i nadnewskiej stolicy, aż po strandy oceanu i Władywostockiego portu oraz pustkowia Sachalinu.

W swych podróżach apostołskich przemierzył te ogromne przestrzenie, wszędzie budząc ducha katolickiego i skupiając żywioł polski, rozsiany szeroko po obcym obszarze i kolonizujący go, zapładniający swą pracą cywilizacyjną. Ten kapłan-apostoł — nad którego kolebką przeszły echa burzy 63 roku, miał sobie od

zarania wszczepioną godność patriotyczną i nie tylko jej dochował, ale rozwinął we wspaniałą kwiata poświęcenia i ofiary, które jego imię zapisało między najpocześniejsze imiona bohaterów ducha.

Tej dzielności postawy moralnej arcybiskupa Cieplaka przypisać należy jego rolę w okresie rewolucji bolszewickiej, której się nie uląkł, której się umiał przeciwstawić z mocą tam wszędzie, gdzie godziła w dobro Kościoła i powierzonych jego pieczy dusz. Zahartowany w bojach z podstępny caratem, który szpiegował nieomal senne marzenia swych poddanych, który z Kościoła usiłował uczynić potulne narzędzie rusyfikacyjnego imperjalizmu, umiał arcybiskup przeciwstawić się jawnemu atakowi zdeklarowanych wrogów katolicyzmu i religii wogóle.

On, profesor akademii, cichy pracownik Boży, wędrownik apostołski po drogach i bezdrożach Europy i Azji, w chwili ciężkiej próby okazał się wodzem najwyższego polotu ducha i niezłomnej, niepodległej postawy.

Stanął na wyłomie dwóch epok, kiedy nadwątlona wojną ludzkość przełamywała się w strasznych konwulsjach społecznego nieładu i głosem spokojnym, pełnym głębokiego przeświadczenia przypominał podstawowe prawdy wiary, walczył o jej prawo i rolę w życiu człowieka. Sześćdziesięcioletni starzec na czele garstki kapłanów przeciwstawił się zbuntowanej tłuszczy, która postanowiła zuchwale zdezonizować Pana Boga na niebie i w sercach ludzkich, a sługi Jego wytepić katowskim mieczem.

Walka ta miała najpierw okres przygotowawczy, podjazdowy. Zaczęło się wszystko od dekretów, godzących we własność kościelną, potem od kampanii, godzących we własność duchową katolickiego społeczeństwa, w jego zasady, w jego świętości. A więc próba świętokradczego zamachu na szczątki błogosławionego Andrzeja Boboli, próba zwycięsko odparta przez nieustraszonego arcybiskupa, jakkolwiek bolszewicy ateistyci nie zawahali się porwać te święte szczątki i umieścić je w bezbożnym muzeum moskiewskim. W rezultacie relikwie męczennika za wiarę odbyły triumfalną podróż aż do Rzymu, do stołicy chrześcijańskiego świata.

Aż wreszcie przyszła próba najcięższa, zmaganie najtrudniejsze, atak najgorętszy, napaść najjadowitsza. Arcybiskupa wraz z gronem wiernych kapłanów stawiono przed rewolucyjny sąd.

Proces i osądzenie arcybiskupa na karę więzienia, a następnie rozstrzelanie ks. prał. Butkiewicza, wywołały wielką burzę protestów całego świata cywilizowanego. Pod naporem tego moralnego oburzenia, Sowiety zdecydowały się wypuścić arcybiskupa. W ten sposób przez Rygę, ten dziś Rubikon wszystkich męczenników za wiarę na obszarze czerwonego caratu, wydobyl się arcybiskup na świat, przybył do Polski, witany entuzjastycznie, otoczony powszechną czcią i miłością, symbol i żywa pochodnia katolickiego ducha. Następnie pośpieszył do Rzymu, najczulej przygarnięty przez obecnego Papieża. Lecz nie był to kres jego życiowej wędrówki. Udał się jeszcze na apostołski objazd Polonii amerykańskiej, wszędzie witany z niezwykłą serdecznością i wśród tych trudów doprawdy misyjnych, ten apostoł Paweł rozproszony po bezmiarze świata polskość, zmarł, jak żołnierz na posterunku, zmarł z nominacją na arcybiskupa wileńskiego. Do stolicy Gedymina dotarli już martwe jego szczątki i tam znalazły wieczny spoczynek. Lecz z grobu arcybiskupa promieniuje wciąż potężny jego duch i świeci swej ojczyźnie.

MACIERZ PRACUJE

Nieoficjalne nasze ministerstwo oświaty jednego z zarobów — Macierz Szkolna i nadal spełnia swą zaszczytną misję walki z analfabetyzmem. 6.000.000 milionów analfabetów — to ponura cyfra. Przeciw tej armii ciemnoty Macierz organizuje popolite ruszenie oświatowców, niosących ofiarne kaganiec oświaty przez całą Polskę ku wszystkim jej kraciom, walczących o polską kulturę.

Taka walka musi być istotnie powszechna, jeśli ma być skuteczna. Musi dla niej zostać zmobilizowane wszystko: opinia publiczna, ochotni pracownicy oświatowi i kulturalni, a wreszcie niezbędne według napoleońskiej zasady: pieniądze, pieniądze, pieniądze!..

Co roku 3-go Maja ogłasza więc ogólną mobilizację! Apeluje do sumienia społecznego, do interesu publicznego, do godności narodowej i kulturalnej. I dobrze robi.

Dnia 3 maja rozpoczyna się zbiórka Daru Narodowego 3 Maja na pracę oświatową Polskiej Macierzy Szkolnej.

Jaki jest teren działalności Macierzy?

Teren działalności Macierzy obejmuje województwa: warszawskie, kieleckie, łódzkie, białostockie, poleskie, nowogródzkie i wołyńskie, obecnie przybyła Wileńszczyzna.

Rzucmy okiem na mapę. Wołyn przedstawia się najlepiej. Na ogólną liczbę 256 kół Macierzy mamy na Wołyniu 43 koła, 34 czytelników-swieclic na ogólną liczbę 350, 210 bibliotek na ogólną liczbę 834, 20 szkół powszechnych na ogólną liczbę 75 i 8 szkół zawodowych na ogólną liczbę 41.

Jest tu specjalnie szczęśliwy układ sił ludzkich, który pozwala podtrzymać i rozwijać działalność oświatową harmonijnie na terenie całego województwa. To samo da się powiedzieć o Polesiu, natomiast w innych województwach mamy oazy i punkty, które promieniają w terenie, np.: Zagłębie Dąbrowskie w kieleckim, Łódź, Wieluń, Piotrków w łódzkim, Grodno, Ostrołęka w białostockim, a pozatem koła w każdym prawie mieście powiatowem realizują jedną lub więcej form pracy oświatowej, prowadząc szkołę bądź bibliotekę, przedszkole lub bursę itp.

19.097 członków Towarzystwa łoży na to swój czas i pieniądze.

Wystarczy rzucić okiem czy to na mapę, czy na cyfry, aby poza statystyką zobaczyć żywe, dobrze nam znane, twarze działaczy.

Wielki ród oświatowców nie wygasł na Brzezińskim i Osuchowskim. Wystarczy, aby ktoś powiedział słowo Baranowicze, aby zamiast dalekiego, zagubionego na gra-



Wystawa koła „Macierzy” na Grochowie.

nicy sowieckiej miasta, zobaczyć energiczną twarz ambitnego oświatowca, który w przeciągu paru lat potrafił wyczarować z ciemności i biedy szkołę techniczno-drogową i szkołę handlową dla 380 uczniów, 55 czytelników i tyleż bibliotek w powiecie, 3 szkoły powszechne, a na jesieni zamierza uruchomić 11 szkół powszechnych. Wystarczy popotrzeć na województwo kieleckie, aby zobaczyć na drogach rozklekotanego Forda, powiązanego sznurkami, którymi jeździ wraz ze swymi latarniami, przezrociami i mechanikami, taki ksiądz, który stworzył nowy system akcji wykładowej. U siebie na plebanji ma garaż, warsztat i biuro. Naprawia stare latarnie, szkoli mechaników, wysyła teksty przemówień i zapowiedzi przyjazdu „latarników” do t. zw. stacyj odbiorczych. Stacja odbiorcza organizuje odczyt w jakiejś szopie, odczyty mają już wyrobioną sławę, niejednokrotnie dziecko zamiast groszaków ofiaruje organizatorom wycyganione od matki jajko, byle nie odejść od drzwi — za którymi będą się działy cuda: obrazki a potem muzyka. W ten sposób w czasie roku 1933 41.007 dorosłych osób i dzieci wysłuchało 715 wykładów w punktach wiejskich.

A Włodzimierz na Wołyniu, który prowadzi doskonale szkołę zawodową, bursę, przedszkole i bibliotekę i ma ambicję dotrzymania kroku miastom wojewódzkim, pobił w statystyce wykładów. Polesie, które spowodowało złych dróg zdołało urządzić tylko 152 wykłady dla 19.760 osób. To są szlachetne rekordy i piękne ambicje.

Ale największym czarodziejem jest chyba ten, kto potrafi w merkantylnej, kryzysowej Łodzi, na zebraniu obywatelskim, zwołanym przez Łódzki Zarząd Okręgowy Macierzy, tak rozgrzać przybyłych akcją kół opiekuńczych, że obecny na tem posiedzeniu p. J. W. ofiarował jednorazowo sumę zł. 1000 na założenie i prowadzenie szkoły powszechnej w powiecie wołyńskim, gdzie przeszło 100 dzieci pozostaje bez nauki.

Polska nad Wisłą i Bugiem zawsze będzie Polską, jej poziom kulturalny podnosić będą następne pokolenia. Zadaniem pokolenia dzisiejszego jest utrwalenie polskości naszych Kresów. Do rozwinięcia frontu duchowego centrum przed Kresami nawołuje Macierz i pod tem hasłem organizuje zbiórki 3 maja.



Wypożyczalnia podręczników „Macierzy”. 48. 991 tom. W-wa, Traugutta 3.

KÖRMENDI

PRZYGODA W BUDAPESZCIE

Przyszły historyk literatury, omawiając współczesną nam literaturę piękną, będzie musiał w pierwszym rzędzie podkreślić jedną cechę wyróżniającą: wszystkie nieomal najwybitniejsze powieści, t. zw. best sellery, które zdobyły sobie najszerze powodzenie i największy rozgłos, były pisane nie przez zawodowców — nie przez zawodowych literatów, uznanych pisarzy, lecz przez intruzów, przeważnie „szarych urzędników”, lekarzy itd. Więc Remarque, Celine, Körmendi i wielu, wielu innych wybiło się na czoło literatury jedną książką, pozostawiając daleko za sobą uświęconych i sławnych kapłanów sztuki pisarskiej.

1) czym to świadczy, o jakich przesunięciach gustu, o zainteresowaniu dzisiejszego czytelnika żywą, płynną treścią życia, bez obciążenia hieratyczną formą, czy też o impasie tejsze formy — zagadnienie to wymagałoby gruntownego studjum.

Jednym z najciekawszych debutantów tego pokroju jest niewątpliwie Franciszek Körmendi, autor głośnej dziś w całym świecie „Przypadki w Budapeszcie”, która w najbliższych dniach ma się ukazać nakładem Gebethnera i Wolffa w przekładzie polskim. Historia tego debjutu jest dość osobliwa. W roku 1932 największe firmy wydawnicze angielskie i amerykańskie, jak Chapman, Heath i inni, rozpisują konkurs międzynarodowy na powieść. Spośród 1800 nadesłanych z całego świata rękopisów, pierwszą nagrodę dostaje zredukowany urzędniczek z Budapesztu Fr. Körmendi za powieść „Przypadek w Budapeszcie”. I oto ukazują się wydania angielskie, niemieckie, węgierskie, duńskie, szwedzkie, amerykańskie itd., itd.; w krótkim czasie we Włoszech sprzedają 35 000 egz., w Holandji 16.000, na Węgrzech 50.000, w prasie światowej ukazują się entuzjastyczne recenzje („genjalna książka” — Corriere de la Serra), autora przezywają „Remarque czasów pokoju”, „największym epikiem nowoczesnej literatury” (Neue Freie Presse).

„Przypadek w Budapeszcie” zawdzięcza może swoje powodzenie w pierwszym rzędzie temu, że, jak żadna inna powieść, rehabilituje do niedawno poniewieraną fabułę, że wydobyla „przypadek” w najciekawszym tego słowa znaczeniu, z dawnego, ciężkiego życia generacji wojennej, w czasach powojennych. Budowa powieści jest niezmiernie prosta, i przejrzysta, choć obejmuje ogromne mnóstwo wątków, postaci, zdarzeń, obserwacji, krajów. Jest ona jak potok rozległa i wielonurtowa, jak samo życie. Oto po wojnie paczka kolegów szkolnych zbiera się co pewien czas w kawiarni. Żaden nie zrobi kariery, wszyscy: i agent, biuralista i kupiec, lekarz, adwokat, dziennikarz itp. pogrążeni są w szarzyźnie skromnego życia bez zdarzeń i bez perspektyw. Jeden z „paczki”, Andor Kelemen, w poczekalni u dentysty przegląda czasopismo angielskie z południowej Afryki i dowiadyuje się, że kolega ich Antoni Kadar, najgłupszy na ławie szkolnej, jest milionerem, szefem olbrzymiej firmy budowlanej. Pisze więc do niego, zapraszając do Budapesztu. I oto rozwija się, jak najciekawszy film, życie Kudara, jego ciężka, pełna upadków i wzniesień droga do bajecznej kariery. Opis tego życia jest w najwyższym stopniu wstrząsający, niezmiernie urozmaicony i bogaty w przygody bajeczne i przypadki. Zajmuje on też lwią i najważniejszą część książki. Wreszcie, gdy Kadar przyjeżdża z żoną do Budapesztu, koledzy usiłują go opłacać, by się jego kosztem pożywić. Zwłaszcza Kelemen roi sobie wielkie plany, ponieważ Kadar nieprzytomnie zadurzył się w jego siostrze. Plany kończą się niepowodzeniem. Kelemen przypląca je życiem.

Ta niezwykła powieść napisana jest nadzwyczaj schludnie, z oszczędną prostotą, że nie ująć, ani

dodać, nie można. Jest zajmująca od pierwszej do ostatniej strony, co podkreślić należy dziś w okresie panowania t. zw. genre ennuyeux, nie rozprasza się w dygresjach, pomimo bogactwa treści. A przymet — w przeciwieństwie do panującego tonu beletrystyki współczesnej — jest nawskroś optymistyczna: nie ukrywając ciemnych i ciężkich stron życia, podając jako tło kryzys dzisiejszy w całej jego powszechności i wielostronności, głosi — s. uszną, czy złudną — wiarę w niepożytą moc człowieka, w cudotwórczą moc energii vitalnej, która nawet w dobie racjonalizacji, bezrobocia, ma pono umożliwiać jednostkom nią obdarzonym bajeczne kariery.

Nakł. Gebethner i Wolff.

Aradi. Rozległ się dzwonek, a po chwili stała przed nim stara kobieta.

— Bardzo mi przykro, że nie mogłem przyjść wcześniej, ale poważna sprawa handlowa...

— Tak, sprawa handlowa to zawsze rzecz poważna!... Nic nie szkodzi, może pan jeszcze rozmówić się z synem. — Wychyliła głowę do korytarza i zawołała: — Samuelu, chodźno tutaj, przyszedł pan Kelemen, szwagier Karola!

Otyły jegomość w kapeluszu i w zimowym palcie podszedł ku niemu:

— Moje uszanowanie! Jestem Mencer.

— Andor Kelemen.

— Bardzo mi miło poznać pana. Pana szwagier mówił mi...

— Tak.

— Więc... ze względu na Karola... — odchrząknął. — Pan wie o co chodzi, prawda?

— Tak, o posadę...

— Oczywiście o posadę, a raczej... bądźmy dokładni: stanowisko agenta.

— Tak, agenta.

— Tak! Bo w dzisiejszych czasach stała posada, prawda... Właściwie, proszę pana, dzisiaj administracja jest zbyt ciężka, potrzebni są nam kupujący. Zwłaszcza u mnie... Więc mogę zaangażować pana jako agenta na cały Budapeszt. Mówiłem już matce, że ze względu na Karola chcę panu dać sto pengó miesięcznie, jako a conto prowizji przez sześć miesięcy, a jeżeli przez ten czas wszystko pójdzie dobrze, wtedy te sto pengó zamienimy na stałą pensję, plus prowizja. Tak sobie obmyśliłem tę sprawę, panie Kelemen.

— Rozumiem...

— Zazwyczaj płacimy siedem procent od ceny brutto, ale, jak już mówiłem z matką, panu możemy dać, powiedzmy: siedem i pół... no, powiedzmy osiem. A co do pracy, to... Jakże to panu powiedzieć? Pan się przecież zna na interesach, prawda? Musi pan odwiedzać swych znajomych, musi pan mieć oczy otwarte, przeglądać w gazetach ogłoszenia zaręczynowe i zaraz potem iść do tych ludzi. No, nauczył się pan czasem. Więc niech pan się zastanowi...

— Proszę pana, myślę...

— Zgadza się pan?

— Myślę, że mógłbym objąć tę posadę od pierwszego. Mam jeszcze coś na widoku, ale jeśli nie dam definitywnie odmownej odpowiedzi w terminie, to bardzo proszę o zarezerwowanie mi tej posady.

— A, naturalnie, zrobione! Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze. A więc... najpóźniej pierwszego!

Narazie, rozumie się, rozpoczniemy próbę trzymiesięczną, ale gdy się ktoś tak dobrze prezentuje, jak pan, drogi przyjacielu... trochę zręczności...

„Trochę zręczności“, naturalnie, i „gdy się ktoś tak dobrze prezentuje, drogi przyjacielu“... — no, dobrze, zobaczymy! Zostanę więc agentem firmy meblarskiej Menczer i S-ka. No, chodźmy jeszcze do pana dyrektora Havasa...

„Józef I. Havas, Sp. Akc.“. W ogromnym składzie nieład, nawoływania, sprzedawcy, kupujący. Nieśmiało zatrzymał się przy drzwiach, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Chłopiec, który pędem chciał go wyminąć, na zapytanie wskazał mu gabinet naczelnego dyrektora. Nieśmiało zbliżył się do drzwi i otworzył je. Pusty pokój, dwa biurka naprzeciw siebie. W głębi znów drzwi. Otworzył: przy małym, okrągłym stoliku siedział otyły pan i zajadał z papieru szynkę.

— Przepraszam, szukam pana dyrektora Havasa...

— To ja jestem — odparł mały grubas. — A czym mogę służyć?

— Jestem Andor Kelemen. Szwagier mówił mi, że u pana, panie dyrektorze...

— Ach, tak... już wiem. Proszę, niech pan siada. Pan wybaczy, że będę jadł da'ej. Choruję na żołądek i muszę jeść co dwie godziny. A więc... omówimy tę sprawę w kilku słowach. Bardzo szanuję pana rodzinę. Znałem także nieboszczyka ojca. To był porządny człowiek. Poszukuję agenta poza Budapesztem, do Miszkolc. Byłoby lepiej oczywiście, gdyby pan w tej branży już pracował, toteż mówiłem szwagrowi pana, że robie to tylko ze względu na niego. — Wziął słuchawkę telefonu do ręki: — hallo, to panna Hermina? Proszę mi przysłać szklanek wody!... Co, niema Stefana? To niech pan Somogyi przyniesie! — Zwrócił się znów do Kelemena: — Więc tak: odjazd w niedzielę wieczór, powrót piątek wieczór. Stałej pensji nie daję, zaliczka na prowizję narazie sto pengö miesięcznie; koszty podróży ponosi firma; dziennie osiem pengö. Prowizja, w zależności od rodzaju towarów: sześć do dziesięciu procent. Naturalnie, że będzie pan pracował nietylko w Miszkolc, ale w całej okolicy, potem pokażę panu rejon na mapie.

— Proszę pana... hm... to na prowincji... Myś'ałem...

— Proszę, proszę — rzucił pan dyrektor uszczypliwie — jeżeli pan nie ma ochoty wyjeżdżać poza Budapeszt, to trudno... mnie potrzebny agent tylko na prowincję. A jeżeli ma pan zamiar zostać dobrym agentem, to musi pan zacząć od prowincji.

Kelemen podniósł się.

— O ile pan dyrektor nie ma nic przeciwko temu, to chciałbym się jeszcze namyślić. W każdym razie dziękuję bardzo za uprzejmość.

Na ulicy pomyślał: — Teraz mogę wybierać: meble albo manufaktura. — Znalazł się na ulicy Andrassy'ego, szedł wolno w kierunku miejskiego lasu. — Jak przyjemnie grzeje słońce. A to już jesień, z drzewa opadły

już liście. Agent od mebli albo manufaktury! Prawda że początkujący, a'e dzielny, inteligentny i dobrze się prezentujący młody człowiek. Mój rejon: Budapeszt albo Miszkolc. I okolice... Cały kraj. Cały świat. Nawet Południowa Afryka. Moim celem jest przecież zostać dobrym agentem... w każdym razie to mój najbliższy cel. Będę agentem na większą skalę, typ amerykański. Salesman. Będę żył z tego, co zarobię, a nie jako alfons utrzymywany przez przyjaciela siostry. Będziemy pracować! W pocie czoła, ciężko, na każdy grosz! Będę zarabiał dużo pieniędzy, będę miał oczy otwarte; niech się nikt o mnie nie troszczy! Kadar, Południowa Afryka, szaleńcze majaki... wszystko minęło!... Teraz rozpoczyna się... — Zagwizdał głośno jakąś marszową melodię z czasu wojny. — Najważniejsze, że mam ochotę do pracy, więc tylko odwagi, wszystko się uda...

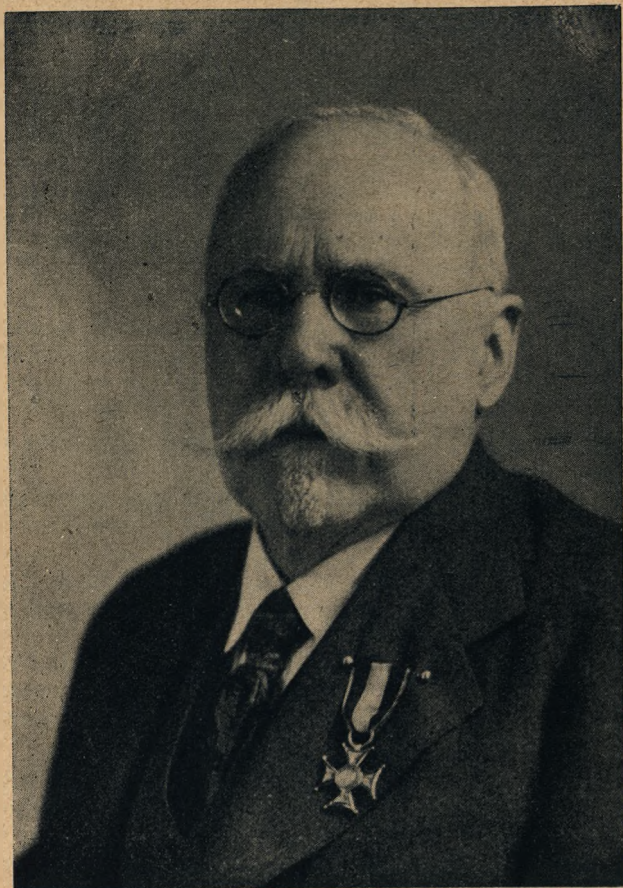
— ...Ta Lili... to bajeczna dziewczyna. A jeżeli... nie będę miał dość pieniędzy?... No, to przyzwyczaj się do automatów. Wpół do pierwszej? No, jazda do domu. Prześpię się godzinę po obiedzie, a potem pójde do matki; muszę Karolowi powiedzieć, że sprawa z Menczerem załatwiona, że byłem również u dyrektora Havasa. — Wsiadł do autobusu. Białe chmury zasłoniły słońce. — Znów wieczorem będzie padać deszcz. Jak tu dużo ludzi, tylu spacerowiczów! Tym się dobrze powodzi!...

— Ach, głupstwa p'otę. Dlaczego im się ma dobrze powodzić? Mnie się też dobrze powodziło, przeproźnowałem pięć miesięcy. No tak, ale to próżniactwo to była bardzo ważna rzecz, musiałem przecież... pst, cicho!

Naraz zmienił zamiar: — Nie, nie pójde do restauracji Obywatelskiej. — Już i tak nie mam abonamentu... Pójde do Ritza. — Wsiadł na placu Giełdowym. Chmury gromadziły się coraz bliżej. Kilka osób spacerowało po bulwarach. — Wszystko jest cudowne — cudowna pogoda... Pierwszego sprzedam już kilka garniturów mebli, albo manufakturę w Miszkolc. A dzisiaj zjem obiad u Ritza! Nie tak prędko znów pozwolę sobie na taki luksus, będę musiał bardzo oszczędzać.

Długo studjował kartę, pytał o radę cierpliwego kelnera, wkońcu zamówił wyszukany obiad z wielu dań. Jadł powoli, upajając się smakiem potraw do ostatniego kęska. Kazał sobie podać tort, ser i owoce. Wreszcie czarną kawę z kremem. Po obiedzie kupił pudełko egipskich papierosów, zapalił, wyciągnął się wygodnie w fotelu, puszczając dym w powietrze. — Nikt nie może powiedzieć, że ż'e mi się powodzi! Żyję przecież wspaniale! I zawsze będę tak żył. Gwizdę na wszystkich! Jeszcze wy zobaczycie! — Zapalił znów papierosa, zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę. — No, teraz na chwilkę do mamy... ale jeszcze przedtem napiję się gdzieś kawy. — I już jest w kawiarni, rozgląda się dokoła, jakgdyby szukał kogoś, potem siada przy oknie.





KWADRANS Z SIEROSZEWSKIM PREZESEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY.

Na jubileuszowym zebraniu 25-lecia Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, spotkałem się z prezesem Wacławem Sieroszewskim.

Chwilowo obserwuję zdala tę dobrze mi znaną, zwarłą w sobie, przysadzistą postać. Nad mocnym wiązaniem ramion dominuje głowa przyprószona siwizną. Twarz czerstwa, o sarmackim białym wąsie, technie dziwnem ciepłem i życzliwością. Łagodny uśmiech — uśmiech człowieka, który wiele wie i wiele rozumie — błąka się po wargach, kształtnych, zaciętych z siłą i uporem. Widać, że człowiek ten doszedł już do tej granicy opanowania sobą, poprzez trud i znój życia, spędzonego na dwu kontynentach Europy i Azji, że umie dziś spoglądać z pewnej wyżyny na wszystko i umie pomimo wszystko się uśmiechać. W mroźnym tyglu syberyjskiej zimy nie tylko nie wystygło jego serce, nie wygasła jego dusza ale zwarła się w sobie, skupiła, a w tem skupieniu rozgrzała, rozplomięła wielkiem uczuciem przychylności do człowieka. I ogień ten płonie wciąż.

Takim jest autor „Beniowskiego”, którego dzieje śledziłem przed dwudziestu paru laty na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”, drżąc o losy bohatera, wraz z nim budując ten okręt, który miał wyrwać go z niewoli. Z tygodnia na tydzień (w tym wypadku dozowanie odcinka powieściowego było w zgodnym rytmie z rzeczywistością utworu) narastał we mnie palący niepokój, drżące oczekiwanie wielkich zdarzeń, chwili wyzwolenia. Beniowski w ówczesnym położeniu naszego społeczeństwa powstającego z niewoli, był jednym z tych wcieleni niepodległości i niezłomności polskiego ducha, jednym z tych symboli, które genjusz rasy tchnął w literackie dzieła. Poprzez te postacie wyżywała się nasza tęsknota za wolnością, po-

przez ich dzielność i prężność duchową rozprężyły się nasze ramiona, nabrzmiwały falą mięśni, gotowych do czynu. Beniowski — polski Prometeusz w okowach — zakutalizowany przez magję pisarskiego natchnienia, ożywał i z kart powieści wstępował w życie, inkarnował się w niejednej młodej piersi.

— Niech pan robi wywiad na gorąco i na poczekaniu — aprobuje — istotnie bowiem powodu zajęć w Akademii wywiadów prawie nie udzielam. Muszę się skupić na nowym odcinku pracy.

— Właśnie Akademia. Chciałem o nią także zapytać.

— Stwarzamy ją. Wyłania się masa spraw. Trzeba nadrobić stracony czas i ustalić tę instytucję.

— Propagowaną przez Zeromskiego — wtrącam.

— Potrzebną, tak jest, potrzebną.

— Zanim jednak coś o niej, chciałem prosić — powiadam — o parę słów, dotyczących osobistej działalności pana. Co pan pisze?

— Niech pan powie swym czytelnikom, że przed końcem życia...

— Przed kresem wędrówki — wtrącam łagodząco. Sieroszewski aprobuje to przyjaznym gestem.

— ...pragnę jeszcze napisać ze dwie książki.

— Czekamy na nie. Cóż to będzie?

— Jedna będzie dotyczyć początków ruchów społecznych u nas. Wie pan, na przełomie z epoki organicznej zaczęły przenikać z Zachodu społeczne prądy i wlewały się w pewne warstwy i ośrodki, obudził się robotnik...

— Epoka organiczna — myślę sobie tymczasem — to bardzo ciekawe, choć niedawne, a jednak tak dawne, że Boy, cytując coś z Koźmiana, gdy natknął się na termin „organiczny”, opatrzył go znakiem zapytania.

Sieroszewski, nieświadom mej dygresji myślowej, ciągnie dalej.

— ...Są to czasy bujne, ciekawe i bodaj ginące w niepamięci, więc chcę je utrwalić w dziele literackim, chcę zatrzymać kształt uciekającej przeszłości, z której przecież jako konsekwencja wypłynęło niejedno z tego, co jest naszą dziś rzeczywistością.

— A druga książka? — pytam

— Druga książka... — zaczyna i nie może skończyć.

Zebrań otwarto. P. A. Ossendowski zagaja i po chwili prosi prezesa Sieroszewskiego do stołu przyjdającego.

— Skończymy później — rzuca mi obietnicę i odchodzi.

Kiedy przyszło to „później”, nie udaje się wrócić do przerwanej wątku. Zaczynam z innej beczki.

— Jak pan się zapatruje na ustawę biblioteczną?

— Niezbędna. Nareszcie znormalizuje ona nakłady. Autor będzie miał zapewnione pewne minimum zbytu. Reszta dla sprzedaży z wolnej ręki to już będzie kwestja uboczna. Tak jest np. w Anglii. Mamy jednak trudności.

— Jakież?

— Ustawa obarczy m. in. samorządy, które, a właściwie w ich imieniu Min. Spraw. Wewn. tłumaczy się brakiem funduszów. Da się to jednak załatwić.

— Kiedy ustawa może wejść w życie?

— Przypuszczam że jeszcze w tym roku.

— Jeszcze jedno pytanie — powiadam — czy Akademia, która popiera młodych beletrystów, pomyśli też o lirykach. Pytam pana o to dlatego, że przypominam sobie jak w zeszłym roku na zebraniu naszego Towarzystwa apelował pan do zebranych w sprawie poparcia poetyckiego konkursu, urządzonego przez radjo.

— To jest sprawa ważna. Niewątpliwie nią się zajmujemy. Młoda liryka zasługuje na pieczołowitą opiekę. Zapewne ustalimy jakąś doroczną nagrodę, pozatem inne formy pomocy też się nastroczą.

— Miałbym jeszcze o co zapytać, ale nie chcę przeciągać struny.

— Żołądkowej! — śmieje się Sieroszewski. Chciałbym dziś jeszcze zjeść kolację. Patrzymy na zegarek, jest godzina II w nocy.

Józef St. Czarnecki.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

POSĄG ZNIEKSZTAŁCONY.

Z okna pokoju, gdzie przypadkowo zamieszkałem w podróży, widok otwierał się na rzekę, potem na łąki, a wreszcie na pola, zieleniejące już runią zbóż. U zbiegu łąk i pól przy drodze zauważyłem figurę Niepokalanej. Okalały ją bzy szeroką kotarą zieleni, gotowe do kwiatu, lecz nie kwitnące jeszcze.

Zbliżyłem się pod wieczór, by z okna obserwować majową zorzę nad lasem dalekim, po'ami i nad posągiem Bogarodzicy.

Zapatrzony w błaski złociste przestworów, zadumałem się przez chwilę... O roli i chwale tej dziwnej Nazaretanki w świecie... Kiedyś jako piętnastoletnia dziewczynka powiedziała o sobie: „Oto odtań błogosławioną nazywać mnie będą wszystkie narody“! I przepowiednia Jej spełniona. Słodyczą Jej Imienia nasycają się i rozkoszują dusze, serca, wargi wszystkich narodów. Jej posągi witają wędrowca przy wszystkich już niemal drogach świata. Dowodem widowym ten posąg, co mię przywitał — w aureoli zórz zachodu...

Ile jeszcze żrenic będzie cieszył, gdy moje przestaną go widzieć?!...

W chwili, gdy miałem odsunąć się od okna, uderzyło mię dziwne spostrzeżenie. Ujrzałem nagle... posąg Marji zniekształcony!...

Niepodobieństwo! — pomyślałem. — Przed chwilą przecież widziałem go całym.

Jednak znowu mignął mi przed oczyma — posąg zniekształcony...

Okazało się niebawem, że winę zniekształcenia posągu ponosiła jedna z szyb w oknie. Przez inne widziany, posąg był cały i ładny, przez nią oglądany — był wypaczony, zniekształcony. Twarz i ramiona Bogarodzicy, na ile odległość pozwoliła je odróżnić, rysowały się tak karykaturalnie, że nieprzyjemnie było patrzeć... Posąg Panny Najśliczniejszej poprosi aż przerażał żrenice!...

Odruchowo odsunąłem się od tła tej szyby i, nie zapalając światła, zapatrzony w mrok wieczoru, jałem rozmyślać nad zniekształconymi posągami Marji w świecie serc i dusz...

Są takie... Jest ich wiele!... I odsuwają się od nich oczy ludzkie, jak oczy moje przed chwilą od okropnego widoku. A odsuwając się od zniekształconej podobizny Niepokalanej Dziewicy, odsuwają się od Niej samej, duchowo tracąc niezmiernie wiele. Jak ktoś, co się odsunie od możnej, a kochającej i mądrej matki!...

A powodem odsunięcia się nie jest Ona, nie Matka, tylko zniekształcony Jej obraz, Jej posąg, przez pryzmat wadliwie widziany. Przez szkła złego, niereligijnego wychowania.

Nie znali Jej we właściwym, bożem świetle i klasycznych, niebiańskich linjach Jej postaci ci wszyscy, z którymi żyła współcześnie, wrogowie Chrystusa — i odsunęli się od Niej. O jednym z nich usta Zbawiciela powiedziały, że lepiejby mu było, gdyby się był nie narodził!...

Nie zna'i Jej herezjarchowie pierwszych wieków Kościoła i odsuwali się od Niej, jako od zwykłej nie-

wiasty, zwykłej śmiertelniczki, której należy się za ledwie wzmianka w dziejach, jak matce Kościuszki, Washingtona, czy Napoleona. Wydała na świat Chrystusa, ot, i tyle. Wykarmiła Go i — nic więcej. A ponad nimi, nad wdeptanymi w pył zapomnienia ich mogiłami, pokolenia przeszły, z wiarą gorejącą w sercu i słowami pozdrowienia na ustach: „Święta Marjo, Matko Boża“!

Nie znał prawdziwego Jej obrazu największy herezjarcha nowszych czasów — Luter — i zniekształcony Jej posąg pozostawił zwolennikom swoim. Nie wiedzą i oni wiedzą o Marji nad to, że była Matką Chrystusa. Nie wiedzą nic o skarbach Jej Serca, które umie zbogacić wszystkie narody, jeśli tylko się do Niej przyciągną. Nie pojmują nieśmiertelnych, niebiańskich głębin Jej duszy, o których wiedzą Aniołowie Pańscy, zwiastując Jej, że jest łaski pełna i że Pan jest z nią nazawsze.

Łaski wszelkiej pełna... Łaski dla każdego człowieka, łaski dla każdego narodu, w każdym okresie dziejów... I Pan, którego wielkości i chwały nie wyśpiewa niebo, nie wypowie ziemia, nie ogarnie ludzkość rozumami wszystkich swoich dzieci, Ten Pan jest z nią na wieki. Ona jest Matką Najwyższego...

I taką cudną, taką wielką, taką prześliczną — pomniejszono, zeszecono Jej rysy, zniekształcono, skłaniając miliony oczu, by patrzyły na Marię przez koszlawe szkła herezji!...

Kościół ze smutkiem w sercu liczy osierocone te głowy. Pół miljarda snuje się ich po ziemi — chrześcijan, co znają tylko zniekształconą postać Matki Chrystusowej. Dusze i serca sieroco. Pośród nędz i niedoli życia nie mają się do kogo udać po światło, pomoc, pociechę. Te dzieci boże — ach, jak ubożuchne — nie mają Matki Boga!...

Ale i w szeregach katolików — ileż widzę sierot! Naprawdę, dusz i serc sierocych, które nie znają Matki Boga. Stosują się do nich słowa jednej z pieśni, nucenych u stóp ołtarzy majowych:

Biedny, kto Ciebie nie znał od powicia,
I nigdy Twego nie słyszał Imienia!
Lecz ten biedniejszy, kto w rozpuszcie życia
Stał się niegodnym Twojego wejrzenia!

I Imię Twoje już zatarł w pamięci
I swojej Matki podle się wyrzeka...
Ach, łaska boska serca nie poświęci,
Które od Matki stroni i ucieka!...

Mrok był coraz gęstszy, zorza wieczorna już dawno zagasła. Za oknem, nad posągiem Niepokalanej, którego niepodobna już było odróżnić od tła widnokręgu, wzeszła gwiazda. Zdaje się, tuż nad skronią Marji.

Pomyślałem, że gdyby jaki potworny, a potężny łotr usunął z nieba materialnego wszystkie gwiazdy, mniejszą szkodę wyrządziłby światu, niż ten, kto usunął sprzed oczu ludzkich, skarbami łask dla nich zasianą prawdziwą postać Matki Boga!

Należałoby potłuc wszystkie szkła, które pokazują oczom ludzkim Jej... posąg zniekształcony!...

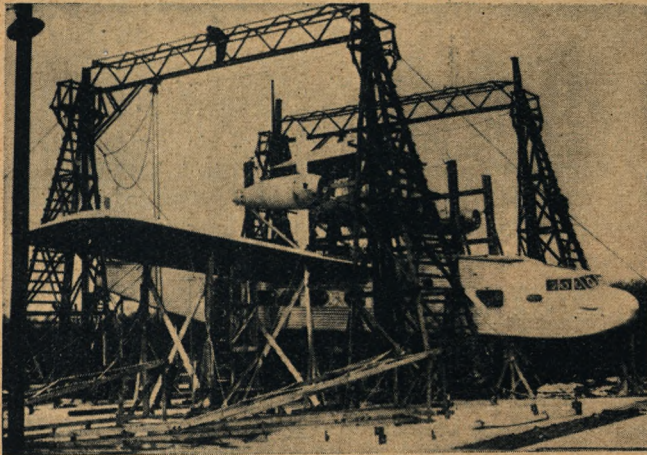


Aparat mówiący w Anglii.

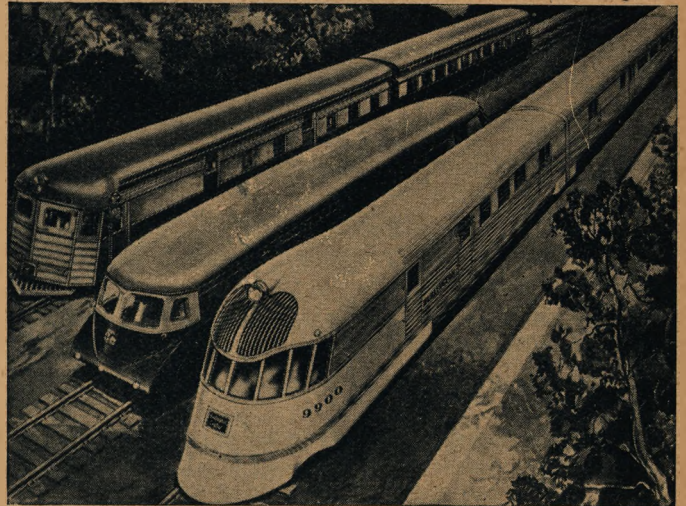
ZDOBYCZE TECHNIKI

Aparat roboczy, wystawiony został w Londynie na wielkiej wystawie nowoczesnej techniki. Wykorzystując najnowsze zdobycze elektrotechniki oraz stosując t. zw. fotocellę, stworzono doskonały aparat samoczynny, reagujący na głos ludzki i dający odpowiedzi na różne praktyczne pytania (która godzina etc.). Ten elektryczny robot jest ostatniem ogniwem wszystkich prób stworzenia mechanicznego człowieka, które datują się od czasów najdawniejszych, a które w średniowieczu podejmował także św. Albert Wielki. Miał on stworzyć maszynę tak doskonałą, że umiała prowadzić dysputy filozoficzne. W czasie jednej z nich, św. Tomasz z Akwiny, rozgniewany jej zimną, bezlitosną logiką, roztrzaskał ją na kawałki.

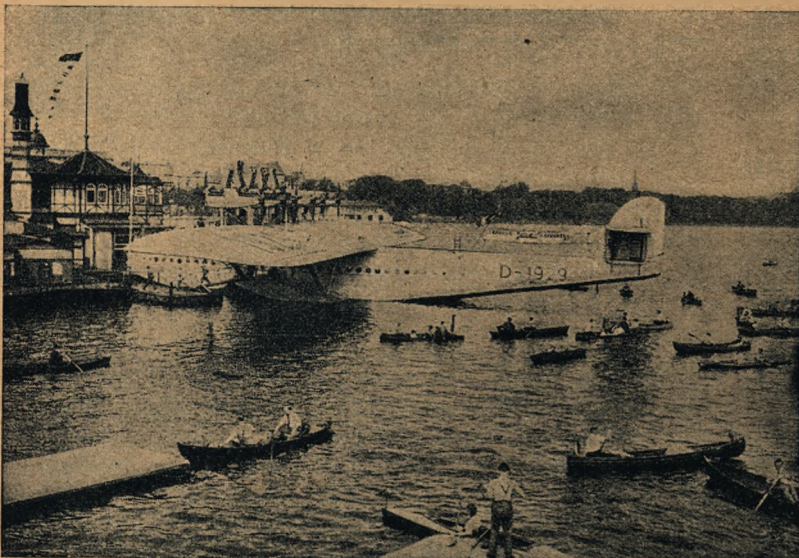
Dzisiaj aparaty, samoczynne-roboty, właściwie stają się coraz częstszym zjawiskiem, są to wszelkiego rodzaju aparaty kontrolne przy precyzyjnych maszynach.



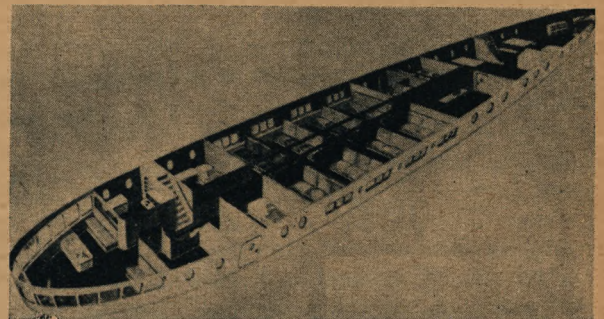
Nowy angielski samolot pasażerski i pocztowy, budowany w Rochester, o napędzie 4-ech motorów. Budowa jego odbywa się w doku na podobieństwo wodnopłatowców.



Nową zdobyczą komunikacji kolejowej, są wielkie wozy elektryczne o linjach wybitnie aerodynamicznych, zastosowane przede wszystkim w Ameryce. Szybkość ich wynosi do 300 klm.

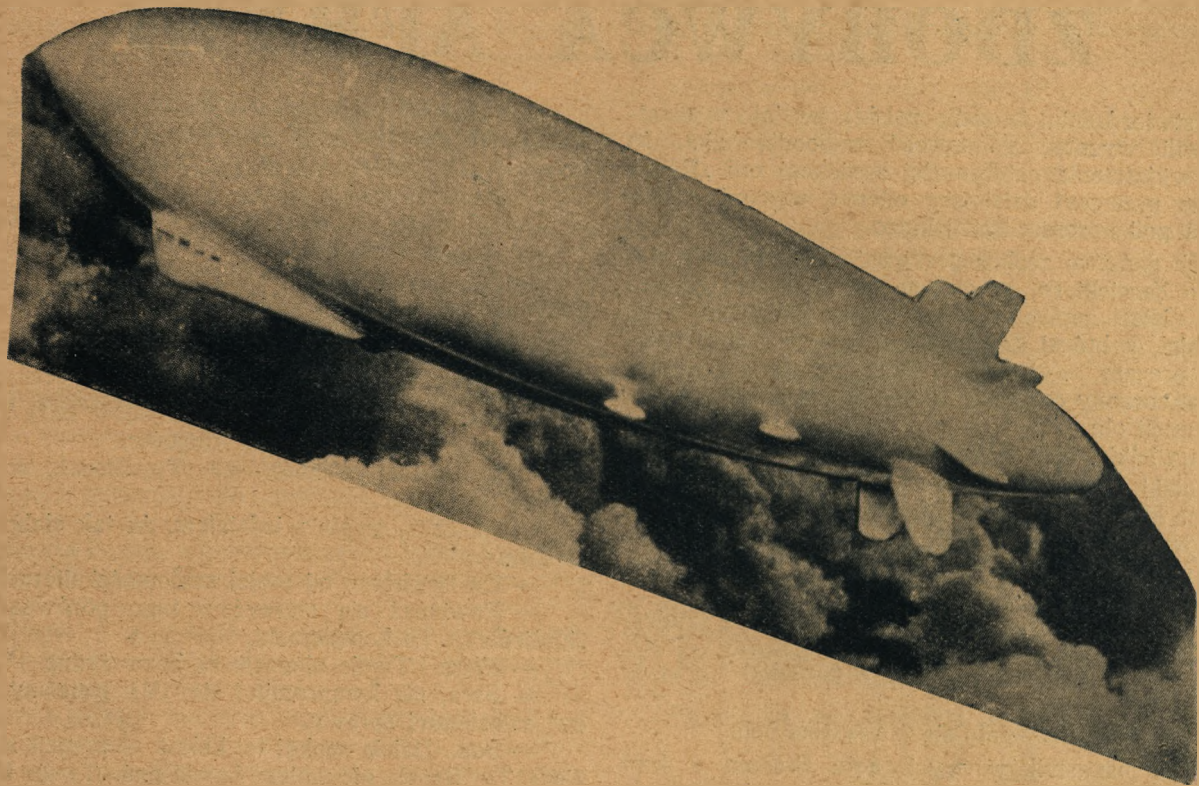


Wodnopłatowiec DOX spoczywający w porcie lotniczym jednego z miast amerykańskich.



Wewnętrzne urządzenie kabin okrętu powietrznego, który przygotowuje się dla napowietrznej komunikacji między Afryką i Ameryką. Zwraca uwagę praktyczne urządzenie i zabezpieczenie wszystkich wygod. Wszystko wykonane z metalu zabezpiecza balon od niebezpieczeństwa pożaru, które jest jedną z najstraszniejszych gróbów żeglugi napowietrznej.

Podróż takim okrętem napowietrznym będzie zupełnie pewna i niewątpliwie czasem stanie się czemś tak zwykłym, jak podróż koleją. Sensacje z przyjemności takiej podróży napowietrznej nie dadzą się z niczem porównać



Wygląd projektowanego wielkiego aluminiowanego zeppelinu o wadze 100 ton samego metalu. Budowa tego kolosa powietrznego kosztować będzie 4 miliony dolarów. W tym napowietrznym okręcie widzimy poza separatkami dla podróżnych ogromną jadalnię, pokój dla radja i obserwatorium meteorologiczne, umywalnię dwie sypialnie. Okręt ten buduje się dla linii lotniczej Południowo-amerykańsko-afrykańskiej. Dla jego pomieszczenia potrzeba hangaru długiego na 547 stóp i 119 stóp szerokiego, o $\frac{1}{3}$ większego od Grafu Zeppelin. Szybkość jaką rozwinie wynosi 100 mil na godzinę, może pomieścić 30 pasażerów oraz 12.000 przesyłek, pozatem oczywiście znaczne ilości różnych zapasów paliwa itp. potrzebnych rzeczy do podróży.

Urządzenie tego kolosa będzie ostatnim wyrazem techniki lotniczej, a jednocześnie przykładem praktycznego komfortu. Kształt jego wybitnie aerodynamiczny, to znaczy z przodu znacznie rozszerzony, z tyłu zwężony co ułatwia spływa-

nie fal powietrza, zapewnia okrętowi wielką szybkość i sprawność. Aluminiowy pancierz, którym będzie pokryty, zabezpiecza jego trwałość na wypadek trudnych warunków atmosferycznych.

Po podróży Grafu Zeppelin dookoła świata, kwestja komunikacji napowietrznej balonowej weszła na zupełnie realne tory. Bezpieczeństwo tej komunikacji, cokolwiekbyśmy powiedzieli o paru ostatnich katastrofach angielskich i amerykańskich sterowców, niewątpliwie jest dziś już mniejsze niż podczas jazdy koleją. Ostatnie katastrofy kolejowe, których się tyle zdarzyło, pod względem ilości ofiar pobiły wszelkie rekordy. Wraz z tego rodzaju sterowcami, komunikacja napowietrzna wkracza w nową fazę, której granice trudno jest dziś przewidzieć i ustalić. Jesteśmy na progu nowej ery. Przyszłość przyniesie nam jeszcze niejedną zdobycz techniczną.

DON JOSE ST. NOARRO.

16)

ZDOBYWCA AFRYKI

Po stwierdzeniu, że radio polskie musiało w ostatniej chwili wycofać go sprzed radjoodbiornika, że w ce'lu wyjaśnienia publiczności haniebnej roli „PTK“, wygłasza prelegent dzisiejszy odczyt, nastąpił szereg oskarżeń pod adresem Żarnickiego.

Niech państwo zechcą przejrzeć rachunki za tualety żony Żarnickiego, sprawiane w pierwszorzędnym firmach. Niech państwo doliczą nowo zakupioną willę podmiejską, z której Żarnicki ma zamiar zrobić imienninowy prezent swej żonie. Doliczmy do tego potajemnie otworzony rachunek w banku angielskim. A będziemy mieli obraz sprytnego oszusta, który pod płaszczkiem wielkiej idei dorabia się majątku.

Żarnicki wyprężył się w nieopanowanej pasji, te bezczelne kłamstwa, którym nie mógł zaprzeczyć, które na radiowej fali obiegały całą Polskę, paliły go bólem niepojętym. Było to tem przykrzejsze, że z ręcznie wyzyskiwano kwestję rachunków za stroje Marysi.

Odczyt się skończył. Jego prześladowca z szyderczym uśmiechem zdjął mu słuchawki, pytając: — No, doktorze, jakże udała się prelekcja? Świetna! To robi swoje.

Wtem auto zatrzymało się w czystym polu.

Dwóch napastników wyciągnęło Stefana z jego wnętrza. Rozwiązano mu nogi, pozostawiając jedynie skrzepowane ręce. Ktoś pchnął go tak, że upadł twarzą w rów pełen kamieni.

Gdy z trudem podnosił się z ziemi; warkot oddalającego się automobi'u był jedynym widomym znakiem jego przygody. Z twarzy sączyła mu krew.

XVIII.

Wąski długi stół restauracyjny zastawiony był masą porcelany i kryształów. Wysmukłe szampanki z jedną ciekawością jak i pękate kufle pochyłały się nad talerzami, wyobrażając sobie smaki licznych zakąsek i potraw, które za pośrednictwem widelców zawędrowały przez sita zębów do zgłodniałych gardzieli biesiadników. Ach zęby! Ileż to o nich może opowiedzieć zwykła szklanka restauracyjna. Młode, drobne, białe zęby uroczych dziewcząt i kobiet. Złote plomby jego-mościów w sile wieku oraz spróchniałe zębiska, czarno-żółte od dymu papierosów i zjadliwych przypraw restauracyjnego jadła.

Spowiedź zastawy stołowej każdej restauracji byłaby krzykiem obrzydzenia i niechęci, jak głosem współczucia winna być spowiedź glinianego garnka, z którego nędzarz spożywa swą kartoflanke.

— Klasa żarcie — zakonludował Benek.

— Czy ty zawsze musisz być taki ordynarny? — zwróciła uwagę Sara.

— Co znaczy ordynarny? Ja się zachwygam, a jej się to nie podoba.

— Ty się zachwycaj bardziej arystokratycznie.

— Znow mi zalewasz z tą arystokracją. Była raz z wizytą u hrabiego i teraz ciągle: to jest arystokratyczne, tak nie jest arystokratycznie.

— Nie z wizytą, tylko w interesie. Ty nie bądź brutal, Benek.

— Dlaczego brutal. Ja wiem, że ty już mnie masz za nic, jak zaczęłaś robić interesy w arystokracji. Ty przez tę arystokrację robisz się całkiem antysemitką.

— Mógłbyś zrobić lepszy dowcip.

— Za chwilę. O patrz, niosą pasztet strassburski.

— Niosą, więc co?

— Zobaczymy czy wyrzeźbili w nim portret Schillera.

— Skąd Schiller na pasztecie?

— Byłby bardzo a propos.

— No?

— Jako autor „Zbójców“! Zupełnie w porę byłaby jego wizyta u nowoczesnych zbójców.

— Co znaczy u zbójców? Ty, Benek, sobie za bardzo pozwalasz.

— Aj, Sara, ja nie wiedziałem, że tak słabo znasz literaturę.

— Co ty chcesz od mojej znajomości literackiej?

— Powinnaś się cieszyć z tego porównania do „Zbójców“. To komplement.

— Kpisz. Twoje alegorie są bezwstydne.

— Sara, nie kompromituj się. My jesteśmy „zbójcy“ szlachetnej sprawy.

— Sza. Dajcie spokój tej kłótni — wtrącił się bankier. Ty, Benek, nie umiesz bawić pań. Twoja filozofia na nic się tu nie przyda.

— Dlaczego? Jak się Sara trochę poirytuje, to będzie lepiej trawiła.

— Benek, dosyć. Ty się jeszcze udławisz od tych dowcipów.

Bankier zadzwonił w kieliszek i wśród milknącego gwaru rozochoconego towarzystwa zaczął mówić:

— Uroczystość, która nas tu zgromadziła, jest chwilą radości spowodu naszego nowego triumfu. Walczyliśmy wszelkimi środkami o jego osiągnięcie. Wytrawną mądrość i doświadczenie życiowe naszej rasy zużyliśmy dla chwały swego narodu. Po raz tysięczny sprawdziły się te słowa, wielkie, radosne: „Pogńębę nieprzyjaciół wasze“. I leży w prochu wróg i czolga się do nóg nam, żebrząc liłości. Niechaj twarde będą serca nasze jako granit. Nie znamy liłości i w tem jest moc nasza i potęga. — Goldstein sam upajał się wprost tą krwiożerczą frazeo'ogią, nie widząc pewnej groteskowości sytuacji. Ten cuchnący lokal restauracyjny i ten upiorny patron harmonizowały jednak. — Mówię pełen szczerzej radości i każde słowo jest słodkie i wonne, jak oliwka. Toast ten spełniam jako wyraz uznania dla drogiej Sary, drugiej Judyt naszych czasów. Jej to wyteżonej i ofiarnej działalności mamy w znacznym stopniu do zawdzięczenia triumf dzisiejszego dnia.

— Niech żyje! — z okrzykiem zwrócono się w stronę Sary, która siedziała pomieszana i blada. Nie czuła w sobie ani odrobiny słodczy triumfu. Mierziła ją jeszcze myśl niedawnej okropnej przeszłości. Czuła w tej chwili przełomowej, że doktor nie był jej obojętny, że... kocha go.

— Sara, pokaż głowę Holofernesa — zawołał Benek z komicznym grymasem niby przestrachu i ciekawości.

— Milcz, Benek, ach, nie męczcie mnie! Bezsilnie upadła na krzesło.

— Co ci jest, Sara, ty się nie cieszysz? Sara, bądź rozsądna, nie psuj nam dzisiejszego wieczoru! — ban-
kier gładził pieszczotliwie jej ręce.

Oddychała głęboko, napół leżąc w krześle, pełna nieokreślonych wrażeń, myśli, tęsknot, daleka tym ludziom, choć jednej z nią rasy, wspólnych zamierzeń i pracy.

Tymczasem towarzystwo rozbawiło się na dobre; coraz podnosił jakiś mówca mniejwięcej dorzeczny toast.

— Niech nam żyje doktor Pętaczek! Niezrównany twórca piosenki:

Ty się zakamerumień
polski Kolumbisie,
jajka już nie postawisz
na ziemskim Orbisie.

To było pyszne. Niech nam żyje ku chwale i po-
żytkowi polskiego kabaretu!

Inny mówca wysławiał dziennikarstwo:

— Akcja, którą przeprowadził „Kanał Żółty“ jest arcydziełem dziennikarskiej inwencji. Ankieta na temat: „Czy Afrykę możnaby przenieść do Tworek“? długo jeszcze będzie wspomniana jako przykład kapitalnego zaszachowania przeciwnika. Niech żyje nasza prasa!

— Panie i panowie! — kiedy tak wysławiacie wszystkie muzy za ich pożyteczny udział w przygotowaniu dzisiejszego triumfu, kiedy zachwyca was każdy transparent uliczny, nie będę oczywiście tego ganił, ale chciałbym zwrócić waszą uwagę na zasługi bożka Merkurego, czyli, mówiąc językiem nowoczesnym, boginię Giełdonę. My, posłuszni jej słudzy, z naszym arcykapłanem, bankierem Goldsteinem na czele, przeprowadziliśmy mistrzowską derutę akcji Tow. Kolonialnego. I kiedy inni starali się mora'nie osłabić przeciwnika, myśmy dokonali ryzykownego, choć, dzięki Bogu, szczęśliwego ataku na niezdołyte wprost pozycje finansowe Towarzystwa. Pod śmiałością naszego natarcia runął gmach potęgi finansowej naszego wroga. Piję zdrowie bankiera Goldsteina, naszego niezrównanego patrona, który wielkością swego umysłu ogarnął, przewidział i zadysponował plan całej zwycięskiej akcji. Niech nam żyje!

Niemilknąca długo wrzawa pokryła toast.

— Kochani przyjaciele! Wzruszony jestem dowodami waszego uznania. Widzę w tem objaw pocieszający niezłomnej solidarności, dyscypliny i poczucia obowiązku, którego daliśmy tu wszyscy niezaprzeczone dowody. Dzięki temu plan nasz udało się zupełnie wprowadzić w życie i osiągnąć tak rychło zamierzony cel. Wszystko, co zrobiliśmy, przyczynia się do dobra całego narodu. I dlatego nie wątpię, że zasłużyliśmy na uznanie najwyższej rady. Proponuję wysłać do niej depeszę hołdowniczą i wznoszę na jej cześć ten kielich.

Na tem się skończyła oficjalna część przyjęcia. Towarzystwo rozsiadło się po kanapkach, roztawionych w półkola pod ścianami. Sara siedziała obojętna na wszelkie próby jej rozweselenia, czynione przez Benka. W umyśle jej wstawały jakieś groźne majaki.

Nagle zwrócił się do niej Goldstein:

— Sara, zatańcz, proszę cię! Ty tak pięknie tańczysz. Wrażenia dzisiejszego wieczoru będą niezupełne bez wspomnienia o twym tańcu.

Sara wzdrygnęła się, jakby ją kto ugodził w serce.

— Tańczyć. Ależ nie. Nie mogę, nie mogę! — zawołała.

— Nie daj się prosić. Zresztą taniec pozwoli ci pozbyć się tej dziwnej melancholji. Zatańcz dla nas i dla siebie.

Goldstein ma rację. Trzeba otrząsnąć się. Gdzież to się podziała dawna Sara wesoła, radosna, bachiczna. Dość tego. Co tam!

Porwała się z miejsca, kazała grać orkiestrze.

Tańczyć, tańczyć, zapomnieć i odurzyć się, zanurzyć się w wir, wyrażający miłość, śmierć i obłęd człowieka, nie mogącego już wybierać między miłością i śmiercią...

Tańczy więc, przegina swe zwiewne ciało, czarem jego prosząc o jakąś łaskę.

Ach, to już kiedyś było...

Tak Salome tańczyła o głowę Jana Chrzciciela.

Tak tańczyła potem w udręce tęsknoty, na lodowej powłoce Dunaju.

Straszne, straszne!... Lód się załamał z trzaskiem i wpadła, lecz głowa pozostała na powierzchni ponad lodem, jakby odcięta i złożona na srebrnej tacy. Jak blada twarz księżycy, głowa tkwiła długo nad bezmiarrem lodów, niby ofiara przebłagalna...

Sara sunie po posadzce podłogi, pełna lęku, jakby nasłuchując złowieszczonego trzasku. Pragnąc zapaść się w nicłość. Co za straszna męka krażyć tak w oczekiwaniu śmierci. Niechby to już się stało. Jeszcze kilka pas, kilka ruchów, a mroźna otchłań pochłonie jej ciało. Już, już...

Sara padła bez zmysłów na ziemię.

XIX.

Ks. Kordjan wstępował na ambonę powoli, wprost z wysiłkiem nie tylko fizycznym, ale i duchowym. Każdy krok jego był jakby wyteżonym akompaniamentem do słów modlitwy rezygnacji, która mu brzmiała tragiczną melodią w duszy... Nie moja, ale Twoja wola niech się stanie. Odwróć, jeśli możesz, ode mnie ten kielich goryczy...

Porwała go dziś rano myśl, ujmujące, bolesne niemal pragnienie wstrząśnięcia sumieniami ludzkimi. Ze zgrozą wyczytał wieść o wypadku Żarnickiego. Poczul w sobie ogień prorockiego natchnienia. Usiłowały go stłumić fale wyziewającego duszę lęku. Dlatego właśnie groźnego, że bezprzedmiotowego. Stał się pastwą dwu walczących w nim potęg, wobec których śmiertelnych zapasów było jego ja biernym, niezdolnym do żadnego czynu widzem. Wybłyskujące w umyśle refleksje, jak iskry dynamo, miały blask myśli, brak im było jednak ognia woli, zdolnego rozpaść motor jego czynów...

Słowa szeptanej modlitwy błagalnej wirowały w tym chaosie, niby żagwie na szczycie płonącego domu.

I oto, jak ongiś z gorejącego krzaka, ozwał się wśród tego straszliwego zamętu, który ogarnął jego duszę, jakiś głos władczy: idź i zacznaj w imię Moje!

Szatan wątpliwości wołał: milcz, zbyt śmiało słowami zamacisz ty!ko dzieło. I słowa te jak zdradziecka żmija z sykiem wiły się wokół serca.

Sumienie szeptało cicho a uparcie: To twój obowiązek. Stań na rozstaju dróg i wołaj: Zrodnie do szeregu, słuchoć wodza! Są zdraycy wśród was, którzy podkopują się pod fundamenty gmachu społecznego! Sądźcie ich i karzcie! Wyrzućcie precz z waszego grona!

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIELKI WYCHOWAWCA KATOLICKI

W dniu 1 kwietnia r. b. odbyła się w Rzymie kanonizacja znanego w całym świecie wielkiego wychowawcy i apostoła młodzieży, założyciela Zgromadzenia Sa'ezjańskiego — bł. ks. Jana Bosko.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek zaznajomienie się z jego duchem i jego systemem pedagogicznym jest obowiązkiem wszystkich dbających o dobro młodego pokolenia rodziców, wychowawców i nauczycieli. Na tem polu bowiem najwięcej eksperymentujemy i, jak widać ze skutków tych eksperymentów, bardzo dalecy jeszcze jesteśmy od rzetelnego, głębokiego wczucia się w duszę młodzieży. A ten dar właśnie w nieporównanym stopniu posiadał ks. Bosko. Rozumiał on duszę młodzieży, jak może nikt przed nim. Jego system wychowawczy niema na sobie żadnego piętna epoki, a więc i nigdy nie będzie przestarzały. Tworząc go, wielki wychowawca wybiegł myślą daleko poza granice swego czasu i poza ramy ogólnie przyjętych zwyczajów, wpatrując się tylko w najgłębszą treść duszy młodzieży, która niezależnie od terenu i czasu jest i pozostanie jednakowa.

System pedagogiczny ks. Bosko, t. zw. *uprzedzający*, — polega na wytworzeniu w domu wychowawczym i w szkole takiej atmosfery, by myśl i uwaga młodzieży siłą rzeczy ciążyła ku dobru.

Błogosławiony pedagog zerwał z przyjętem przez wielu, nawet dobrych wychowawców, stanowiskiem samej obrony przed złem. Poszedł dalej. Najpierw ukazał młodzieży w praktyce życie prawdziwie chrześci-



Młody cowboy

jańskie w całym jego pięknie, a potem, śmiało wprzegając swych wychowanków w służbę cnoty i obowiązku, nie pozostawił im czasu na interesowanie się złem, — czyli dobrem *u p r z e d z a ł* zło, zanim zdołało ono ukazać się młodemu sercu w swym fałszywym powabie.

Oczywiście nie łudził się ks. Bosko, że przeobrazi odrazu zepsutą naturę człowieka, która w najwcześniejszych latach dzieciństwa daje znać o sobie.

I dlatego właśnie, że, jako wielki znawca dusz, znał nawskroś nędzę ludzkiej natury, nie dopuszczał ks. Bosko do żadnych eksperymentów w wychowaniu, do żadnego *o s w a j a n i a* młodzieży z tematami, czy widokami działającymi drażniąco na zmysły, ale otaczał tę młodzież atmosferą bezwzględnie czystą i spokojną, by, tak w domu jak i przy nauce, nic nawet w najmniejszym stopniu, nie kierowało jej myśli ku niebezpiecznym drogom.

Daleki od sztucznej pruderji, skromności chrześcijańskiej przestrzegał z całą surowością. Rozumiał doskonale, że młodzież otaczana w domu i w szkole czystą atmosferą ducha chrześcijańskiego z natury rzeczy będzie bardziej odporna na wpływ zła spotykanego poza domem; podobnie jak organizm człowieka, przebywającego stale w warunkach zdrowotnych, nabrawszy stąd sił, odporny się staje na jad unoszących się w powietrzu zarazków chorobowych.

Swego systemu *u p r z e d z a j a c e g o* nigdy nie odłączał ks. Bosko od żywego zjednoczenia serc wychowanków z Bogiem, od iście macierzyńskiej troskliwości i miłości w swym stosunku do nich, oraz od wczuwania się w świat ich zainteresowań. I po tej linii doszedł do tak nieporównanych wyników swej pracy. Z natury żywy, pogodny, dowcipny, wesołość i pogodę uważał za nieodłączną cechę swych domów wychowawczych.

Na wiele lat przed nadejściem zamięłowania do sportu — ks. Bosko w swych zakładach w różnej formie wprowadzał zdrowy sport i gry na świeżem powietrzu, — w młodszych latach sam przyjmując w nich udział.

Postać ks. Bosko to jasny wzór nowoczesnego wychowawcy w duchu chrześcijańskim i żywy dowód, iż dusze młodzieży zdobyć można jedynie prawdą i miłością, — a jej tęsknotę do ideału zaspokoić tylko wskazaniami ideału najwyższego, jakim jest — Chrystus.

M. T. Friedrich.

LUDWIK SOLSKI O KOMUNIKACJI LOTNICZEJ.

Mistrz sceny polskiej i dyrektor teatru Narodowego w Warszawie, Ludwik Solski, skierował do dyrekcji P. L. L. „LOT” następujące pismo:

„Oh, jakiejże doznałem ulgi, gdy wyzwolony od zmudnej, długiej i dymnej podróży kolejami wsiadłem po raz pierwszy, nawet przy niebardzo sprzyjającej aurze, do samolotu i odbyłem lot do Lwowa.

Odtąd już nie wyzwoliłem się od tej lokomocji z tem uczuciem, że nie samolot ma skrzydła, ale że Pan Bóg mnie, „dojrzałem” chłopu, przypiął skrzydła poto, aby latać po świecie...

I już — o ile to możliwe — tylko „LOTEM” latam i gorąco każdemu, kochającemu świat, tę lokomocję polecam, ręcząc, że podróż ta nie sprowadza skutków połączonych z podróżami morskimi”...

(—) Ludwik Solski.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

MŁODZIEŻ SOWIECKA.

Korespondentowi amerykańskiemu, Eugenjuszowi Lyons'owi, udzielił wywiadu przywódca sowieckiej organizacji młodzieży, liczącej 5 milionów członków, Kosiarow:

„Występujemy — mówił Kosiarow — przeciwko wszelkim niestabilizowanym stosunkom seksualnym i przeciwko nieusprawiedliwionemu spędzaniu płodu. Jesteśmy zwolennikami poważnych małżeństw i wielkich rodzin. Krótko mówiąc, życzymy sobie, by nowa generacja była zdrowa fizycznie i moralnie”. O stosunkach obyczajowych w Rosji sowieckiej rozpowszechniano wiele niedorzeczności, w każdym razie „prawdą jest, że powszechny wstrząs, jaki w epoce rewolucyjnej jest nie do uniknięcia, w latach, które są już poza nami, doprowadził do pewnych teorii ekstremistycznych i do odpowiedniego wcielania ich w życie. To była naturalna i, być może, zdrowa reakcja przeciwko przeszkodom i niesprawiedliwościom starego porządku rzeczy. Ale pewnością nie był to właściwy obraz naszego komunistycznego ideału; to było zbyt anarchizujące. Zresztą nigdy nie odpowiadało to poglądom szerokich mas ludności. Wówczas jednak wszystko, co trąciło kapitalistyczną przeszłością i burżuazyjnym, zachodniem pochodzeniem, było przez naszą młodzież znieuwidzone. Nie brakło przecież ludzi, którzy wogóle zgóry patrzyli na kulturę. Ale ten okres anarchizujący już się skończył”.

Wprowadzenie nowej moralności jest rzeczą o wiele trudniejszą, niż realizacja planu ekonomicznego. Toteż Kosiarow raczej wypowiada życzenie, niż stwierdza rzeczywistość, gdy mówi dalej: „Nasi młodzieńcy i dziewczęta wiedzą, że muszą być najbardziej wyrobioną generacją, jaką świat widział kiedykolwiek. Nasz porządek socjalistyczny daje im wszelką możliwość w tym względzie. Musimy osiąść panowanie nad sobą, zorganizowane życie osobiste i ofiarne wobec naszych towarzyszy... Chcemy mocnych, trwałych rodzin... Im silniejsza i bardziej zharmonizowana jest rodzina, tem większą korzyść przynosi ogółowi. U nas zatem doskonała rodzina będzie brała doskonały udział w życiu społeczeństwa. Rodzina musi być ugruntowana na zasadzie obustronnej miłości, poważaniu i rzeczywistej przyjaźni, a nie, jak w krajach kapitalistycznych, na podstawie ekonomicznej zależności”. Jest rzeczą jasną, że osiągnięcie powyższych celów w etyce bez Boga nie jest możliwe, w każdym razie w wyrażonych przez k. dezyderatach odbiła się dość silnie, choć narazie niewyraźnie, tęsknota za ową utraconą etyką.

REKLAMIE NA CHWAŁĘ.

W „Review of Reviews” ukazał się niedawno interesujący artykuł, poruszający zagadnienie sprzedaży w dobie obecnej. Autor artykułu, znany ekonomista amerykański, dowodzi, że wybrnięcie z trudnej sytuacji, w jakiej znajduje się dziś przemysł i handel odbyć się może m. in. drogą przekonania publiczności o tem, że, aby utrzymać właściwy poziom życia, musi ona kupować. Publiczność pozostawiona samej sobie, czytamy w tymże artykule, zajada się podejrzanej wartości odżywczej przysmakami, chodzi w najgorszego gatunku, najdroższych, lecz najlichszych łachach i t. p. i t. p.

Do rzędu najinteligentniejszej publiczności zalicza ekonomista amerykański kobiety. „Gdyby nie było kobiet — nie waha się zawołać — cywilizacja nasza cofałaby się co 12 miesięcy o 5 lat”. Jednakże nawet kobiety nabyt są lekkomyślne, szukają one ustawicznie nowości, jeżeli znają się dziś troszeczkę na jakości nabywanych wyrobów, jeżeli żądają wyrobów lepszych, to tłumaczyć to należy tylko tem, że u ich boku stoi zawsze sprytna i doświadczona wychowawczyni — Miśś Reklama.

Dzięki reklamie uczą się one pruć na krosnach, uczą się pożytecznych, a zarzuconych w pewnym okresie

niesłusznie przez kobiety — robót ręcznych — ulubionego zajęcia ich prababek; uczą się inaczej niż owe prababki dbać o higienę ciała, częściej i regularniej się kąpać i gimnastykować.

„Publiczność nie składa się z ludzi, którzy kupują, lecz z tych, którym się sprzedaje”.

Wszyscy popełniamy błędy. Głównym błędem kupca jest niedoceniańie wartości reklamy w sprzedaży. Błąd ten brzemienny jest w fatalne skutki, albowiem... jak mówi pewien anonimowy filozof amerykański: „Gdy szofer popełnia błąd, zwiększa tem wydatki swego pana...”

Gdy robi błąd rzemieślnik, to (nawet w dzisiejszych demokratycznych czasach), uważamy, że można się było tego spodziewać...

Gdy myli się pracodawca... wydaje się nowe prawo.

Gdy myli się lekarz... zdarza się, że za błędną diagnozę otrzymuje od wdzięcznego pacjenta kwiaty.

Gdy pomyli się handlowiec, wówczas traci na tem jego własna kieszeń, kieszenie jego klientów, traci jego przedsiębiorstwo, jego robotnicy, słowem... katastrofa”.

NAJLEPSZE, BEZKONKURENCYJNE SĄ KAJAKI KRAJOWE.

Propagandy wytwórczości krajowej niepodobna opierać w dobie obecnej na działaniu jedynie na uczucie polskiego nabywcy. Rzucając hasła popierania wytwórczości krajowej, Centralne Towarzystwo Popierania Wytwórczości Krajowej chce przede wszystkim realnemi danemi udowodnić polskiemu nabywcy, że wyroby krajowe w 99 na 100 wypadków nie ustępują zagranicznym.

M. in. w związku z zapytaniami ze strony konsumentek i kupców, dotyczącymi szeregu przyborów sportowych, wobec zbliżającego się letniego sezonu sportowego, Towarzystwo porozumiało się z czynnikami miarodajnymi w tej sprawie, t. j. z organizacjami sportowymi.

Opinia naszych organizacji sportowych była dla produkcji krajowej bardzo przychylna. Okazuje się, że produkcja tego działu wytwórczości postąpiła u nas w ostatnim okresie znacznie naprzód. Wytwarzamy dziś w kraju cały szereg przyborów sportowych, które doniedawna musieliśmy sprowadzać z zagranicy. Produkujemy z małymi wyjątkami wszystko w dobrym gatunku, odpowiadającym wymaganiom nawet najwybredniejszych „asów sportowych”. I tak np. w modnej obecnie dziedzinie sportu wodnego, kajakowego posiadamy pierwszorzędną, najlepszą zagranicznym nieustępującą składaki, t. j. kajaki na szkielecie drewnianym, obciążonym nieprzemakalną tkaniną impregnowaną.

W roku bieżącym projektowana jest, jak się dowiadujemy, wystawa ekwipunku i przyborów do sportów letnich. Na wystawie tej reprezentowany będzie również przemysł kajakowy, wówczas naocznie przekonamy się co w okresie ostatnim w tej, tak ruchliwej dziedzinie naszego przemysłu sportowego zdziałoś.

Projektowana wystawa sportów letnich tak, jak organizowana w roku ubiegłym wystawa sportów i turystyki wodnej, da napewno jak najlepszy dowód energii i przedsiębiorczości wytwórców polskich.



Dążeniem ludzi jest odwiecznym
Przyjemne łączyć z pożytecznym,
L o t spełnia świetnie te zadania:
Podróż przyjemna, szybka, tania!



NA FALACH CZASU

Uroczystości wielkanocne roku bieżącego swą nadzwyczajną wspaniałością przeszły wszelkie oczekiwania. Dodała im specjalnego blasku kanonizacja św. Jana Bosko. Wzięło w niej udział 23 kardynałów, m. in. J. Em. Ks. Kardynał August Hlond, 80 arcybiskupów i biskupów, wraz z księżmi biskupami Fr. Bardą i Dubowskim, olbrzymie ilości duchowieństwa i niezliczone rzesze wiernych, wypełniających do ostatniego miejsca Bazylikę i wielki plac św. Piotra przed Bazyliką. O godz. 8-ej zrana z pałacu watykańskiego wyszedł pochód prowadzący Ojca św. do Bazyliki. Pochód ten wśród niebывалego entuzjazmu tłumy przeszedł przez plac drogą najkrótszą do świątyni, witany honorami wojskowymi przez przedstawicieli oddziałów armii włoskiej i gwardji papieskiej. Po uroczystym ogłoszeniu kanonizacji błog. Jana Bosko i wyznaczeniu dnia 31 stycznia na obchód jego święta, Ojciec św. odczytał w czasie Mszy św. homilię poświęconą żywotowi św. Jana Bosko a zwłaszcza jego zasługom na polu wychowania m. odzieży.

W czasie nabożeństwa chóry papieskie wykonały nowe utwory ks. Perosiego: Te Deum i specjalnie na uroczystość skomponowaną Missa Santissimae Redemptionis. Po Mszy św. odbyła się adoracja relikwii Krzyża św. Gdy rzesze wiernych opuściły Bazylikę, Papież wyszedł na balkon zewnętrzny świątyni, skąd wobec nieprzebranych rozentuzjazmowanych tłumów udzielił błogosławieństwa „urbi et orbi“, a następnie ogłosił przez kardynała Fumasoni-Biondi odpust zupełny.

Godnem uwagi jest, że Ojciec św., mimo niezwykle wyczerpującej pracy w ciągu ostatnich dni, kiedy codziennie wygłaszał po 5—6 przemówień i załatwiał niezliczoną ilość spraw bieżących, nie czuł się zmęczony po uroczystościach, trwających przez 6 godzin, w dalszym ciągu był świeży i pełen energii.

„Rien que votre main, Français, et je suis sauvé!“

Tylko twej ręki brak mi, Francuzie, a byłbym ocalony! — miał zawołać książę Józef Poniatowski, tonąc w nurtach Elstery. Ta legendarno-histeryczna lokucja przypomniała mi się w związku z zapowiedzianym przyjazdem min. p. Barthou, przedstawiciela zaprzyjaźnionej z nami Francji. Po wizycie Napoleona, po pobycie Weyganda i Focha przybywa czwarty, p. Barthou. Można więc powiedzieć, że tempo tej przyjaźni jest dość umiarkowane. Być może wpływa na to różnica klimatów, również i historycznych. Być może

to co w Paryżu wydaje się gorące, do nas dochodzi już jako oddech umarłego. Gdy taki Napoleon cofał się spod Moskwy, w rozmowach ze swym adjutantem, Jolivet, bodaj, zacierając ręce z zimna, uważał Polskę za zwornik w sklepieniu politycznym Europy. Ale było już wtedy trochę zapóźno na odpowiadającą temu pojęciu politykę aktywną względem Polski, do której rozbiórów przyczynili się masoni francuscy.

A choć Polacy wierzyli, że „Bóg z Napoleonem, Napoleon z nami“ to wiara ta zaprowadziła ich na pola Lipska i włożyła jednemu z naszych najlepszych synów, ginących dla podtrzymania blasku francuskiego Apoiona, powiedzenie pełne głuchego żalu: „rien que votre main, Français, et je suis sauvé“. Ręka francuska najczęściej wyciągała się za szybko, by od nas brać, za późno, by nam okazać pomoc. A potem przyszły czasy niewoli. Zapomniano w Paryżu o dzielnych Polakach, że sprzymierzeńców stali się uciążliwymi cudzoziemcami, których spory i emigracyjna nędza stała się raczej pośmiewiskiem, a ich atmosfera ideowa czemś zgola niezrozumiałem we Francji, przeżartej wolnomularstwem i ateizmem. Stosunek Francuzów do Polaków streścił się w powiedzeniu rzuconem po r. 1863 a przypisywanem Napoleonowi III: „l'ordre regne à Varsovie“. Gdy przejeżdżający ongiś w drodze z Moskwy Napoleon I spogądał z okien hotelu angielskiego przy ul. Wierzbowej na pałac Brühla, z którego niedawno przegnano ambasadora Igelströma, wysłannika carycy Katarzyny, uważał, że Polsce wypada jakaś rola w Europie, jego imiennik, Napoleon III, z zadowoleniem stwierdził, że w Warszawie panuje moskiewski l'ordre! I to przekonanie ustaliło się właściwie na dobre wśród ateistyczno-masońskiej części opinii francuskiej, aż do czasów traktatu wersalskiego. Za kulisami tego traktatu robiono też wszystko, by nie dopuścić do wskrzeszenia Polski silnej, bo nie wierzono w jej misję polityczną, choć marzący z zimna na kość Napoleon I nauczył się trochę nas cenić, niestety dość późno, gdy mu spalono pod nosem Moskwę.

Dopiero też widmo bolszewickie, ciągnące z Moskwy przeraziło Paryż. Prysłano nam Weyganda! Ale co złego się stało, tego już nie odrobiono. Przeciwnie chciano wkleić nam cały fatalny, wojenny Spadek. W rezultacie wszystkim dookoła wolnomyślna (libre) Francja dawała beneficja, żeby wymienić Czechosłowację, któ-

rej najśmielsze nawet marzenia stały się jawą polityczną. My tylko, obstawieni klauzulami plebiscytowemi, byliśmy obszarpywani na wszystkie strony.

Trudno zresztą było czego innego oczekiwać od masońskich kierowników polityki francuskiej, dla których wskrzeszenie Polski katolickiej było conajmniej dziwołagiem, jeśli nie rzeczą nienawistną. Nic dziwnego, że ci politycy robili wszystko zwłaszcza pod przewodem arcymasona Brianda, by zaszkodzić Polsce, by jej kosztem, na jej żywym organizmie godzić się z Niemcami. Stąd wyrosła ta obłądna epoka locarneńska, w której atmosferze dojrzewał właściwie zamach na polskie Pomorze. Zamach ten miał zapłacić Niemcom za wszystkie ich „krzywdy“, być poręką dobrych stosunków francusko-niemieckich. Nam zaś dla uspokojenia przysłano Focha. Wierzono wtedy, pod wpływem tego prestigitatora polityki, jakim był Briand, że przyczyną niepokojów w Europie jest Polska, i że ona tylko może sprokocować wojnę.

Myśmy zaś wierzyli w dobrą wolę Francji i powoływali się na „swą sojuszniczkę“. Aż tu w Niemczech doszedł do głosu Hitler. Wtedy masońska polityka zaczęła brać w łeb. Polska, która już od dawna miała dosyć parysko-„wschodnich“ natchnień, znalazła drogę do porozumienia z Hitlerem, a jednocześnie i z Moskwą. Włec dzisiaj przyszła nam Paryż p. Barthou. Niewątpliwie odczędzie się kilka świetnych reunjonów, kilka cichych, gabinetowych narad. Chodzi tylko o to, by p. Barthou zrozumiał to, co rozumiał Napoleon I, siedząc w hotelu angielskim, by zrozumiał to wcześniej od Napoleona... Polska, bez daleko idących sentymentów, widzi interes w porozumieniu z Francją, ale to porozumienie musi być, mówiąc po angielsku fair play. Polska zraziła się do Francji masońskiej, rządzonej przez obce agenty. Polska chce mieć do czynienia z Francją autentyczną, szczerze nam przyjazną, bez żadnej ukrytej arriere pensé. Mamy nadzieję, że to zostanie osiągnięte... inaczej trzeba by powtórzyć słowa: rien que votre main. Wątpię, czy znajdzie się ktoś skłonny do powtórzenia sytuacji, w których były wypowiedziane.

W ostatnich czasach powstało duże napięcie we wzajemnych stosunkach Polski z Czechosłowacją. Do zadawnionych i prawie zapomnianych uraz doszły nowe kwestje sporne, a więc sprawa położenia naszej mniejszości na Śląsku cieszyńskim. W związku z tem zdarzyły się różne ma-

nifestacje, wymierzone ostrzem niechęci w Pragę i Warszawę. Wydalono z Polski kilkunastu Czechów, w Czechosłowacji odbył się proces monstre przeciw pewnemu polskiemu dziennikarzowi. Prasa obu narodów wdała się w różne daleko idące roztrząsania. Atmosfera zaczęła się wybitnie zaogniać. Jedynie bodaj w prasie katolickiej, zwłaszcza czeskiej, pojawiały się głosy pojednawcze, że wymienimy tu „Zivot“, który nawet zastanawiał się nad tem, czy jedną z przyczyn niezadowolenia Warszawy nie jest obecność p. posła Girsy, jako obarczonego dawnym posłowniem w Moskwie.

No chyba nie, przecież dzisiaj obowiązują u nas kurs na Moskwę. Do ciekawych manifestacji pojednawczych, należy zaliczyć wydrukowanie w świątecznym numerze kat. „Lidovych Listov“, wych. w Pradze, głosu p. red. J. St. Czarneckiego. Czytamy tam: „W chwili, gdy mnożą się oznaki burzy, niechęci i niesnasek, pisarz winien zrobić wszystko dla przywrócenia atmosfery pojednania. Jeden z moich przyjaciół, Słowian, powiedział kiedyś, że nie będzie dotąd w świecie ludzkim wogóle, a w świecie słowiańskim w szczególności poprawy stosunków, dopóki narody nie nauczą się zapominać historii, zapominać przeszłości, a nie zaczną pracować dla przyszłości. Zdziwiłem się. Wówczas wyjaśnił, że chodzi mu o to, aby ludzie nauczyli się wykreślać z pamięci to wszystko, co ich dzieli, co ich rozgradza nieprzebytym murem nienawiści. Od wyrównania bowiem prawdziwych czy rzekomych krzywd, o wiele ważniejszy jest rachunek przyszłych korzyści. Wam Polakom nie trzeba zresztą tego tak bardzo tłumaczyć, dalsie kapitalny, a jeden z nielicznych w dziejach przykład takiego rozumnego rachunku na przyszłość. Mam na myśli wielkie dzieło unji polsko-litewskiej, które, jak mówi akt lubelski, „miłością braterską“ połączyło dwa narody, ongiś brodzące w swej krwi.

Istotnie trudno o lepszy przykład, cokolwiek dałoby się powiedzieć o obecnych nieporozumieniach polsko-litewskich.

Wydają mi się tembardziej pewnym, na podstawie tego, co nas w historii łączy, że i stosunki polskie z Czechosłowacją winny w imię lepszej przyszłości zmierzać do stałej poprawy i zacieśnienia. Słusznie dostojny prezydent Masaryk powiedział: — „Polska i Czechosłowacja z rozkazu dziejów zmuszone są do najściślejszego związku obronnego. Matematyka polityczna prowadzi oba zachodnie narody słowiańskie do zawarcia przymierza na śmierć i życie“. — Hasło tego przymierza na śmierć i życie podpisuję całym sercem i całym rozumem“. Słowa to godne uwagi.

Na tle skandalu Stawiskiego uwydatnia się coraz bardziej rola masonerii.

Konwent Wielkiego Wschodu w r. 1923 uchwalił takie postanowienia:

„Parlamentarzyści, wolno-mularze, którzy są w pewnej mierze emanacją łóż, mają w czasie wykonywania mandatu od nich zależeć. Mają oni przyjmować wytyczne zebrania ogólnego w części, dotyczącej parlamentu. W każdej okoliczności swego życia politycznego mają poddawać się zasadom masonerii“.

Zobowiązania te od tego czasu stale przypominano parlamentarzystom-masonom, a w szczególności w konwencie r.



Ojciec św. błogosławi na zakończenie roku świętego.

1933 przypomniano, że mają być posłuszni łóżom, które dyktują im politykę pod groźbą oskarżenia o zdradę i surowych kar.

Świeży przykład pouczy o karności masonskiej w parlamencie a szczególnie w Senacie.

Zebranie przełożonych (vénérables) dwu obrządków Wielkiego Wschodu i Wielkiej Łoży Francji odbyło się w drugiej połowie lutego w siedzibie Wielkiej Łoży Francji przy ul. Puteaux. Przewodniczył p. Louis Daignon, wielki mistrz Wielkiej Łoży Francji. Był on attaché parlamentarnym w gabinecie p. Paul Boncoura, nad którym mógł uważnie czuwać na rzecz polityki rozbrojenia, postanowionej przez ostatnie konwenty. Na zebraniu tem rozważano sytuację obecną, wraz z rzekomym spiskiem faszystowskim i powzięto zarządzenie, celem bezpieczeństwa i oczyszczenia z niepewnych czynników.

Postanowiono przedewszystkiem, że, na cały czas niepewny, obok ukrycia archiwów, masoneria nie będzie ogłaszała żadnego dokumentu pisemnego, poza okólnikami nieznaczącej treści, oraz nie będzie podawała w biuletynie tygodniowym łóż okręgu paryskiego nazwisk braci.

Natomiast nadal mają być wydawane wskazówki tajne w całej Francji, celem kierowania opinią bez jej władzy, jakoteż wielkimi związkami pod wpływem masonerii działającej, jak Liga Obrony Praw Człowieka lub Liga Nauczycielska, wreszcie braćmi masonskimi, działającymi w różnych organizacjach poza masonerją. W tym celu dzieli się Francję na 15 okręgów masonskich. W każdym z nich inspektor masonski będzie podróżował bez przerwy, aby dawać ustne wskazówki wyborowym masonom, bo nie będzie się tego robiło w pełnych zebraniach łóż dla bezpieczeństwa.

W całej Francji mają też powstać komitety czujności (comités de vigilance), których zadaniem będzie nadzór nad organizacjami t. zw. faszystowskimi (tj. pravicowymi wogóle). Zarazem mają te komitety czuwać nad zapewnieniem współdziałania sił lewicowych. Pod pokrywką wspólnego frontu antyfaszystowskiego, tj. pod hasłem obłudnym, bo tego faszyzmu niema, ma się w ten sposób zapewnić współdziałanie wszystkich sił lewicowych pod dyktando masonerii, zagrożonej przez ostatnie zdarzenia. Już zresztą przed obecnymi wypadkami, a więc nie przeciw rzekomemu spiskowi, we wrześniu 1933, ostatni Konwent Wielkiego Wschodu zarządził to skupienie sił lewicy i osobna komisja została w tym celu utworzona na posiedzeniu Rady Wielkiego Wschodu 29-go października 1933.

W wykonaniu tych uchwał p. Bienvenu Martin, przewodniczący grupy radykalno-społecznej w Senacie, brat masonski, po zeznaniach p. Chiappe, b. prefekta policji, w parlamentarnej komisji śledczej o zamachowych przygotowaniach właśnie na lewicy, zażądał utworzenia stałego komitetu nadzoru masonskiego nad rządem.

W ustroju masonskim wielką rolę odgrywają parlamentarzyści. Konwent Wielkiego Wschodu w r. 1922 uchwalił zasadę: masonerję powinno się wszędzie czuć, ale nigdzie jej nie odslaniać. Otóż my ją odslonimy.

Jest to zatem zapowiedź gruntowniejszego dobrania się do zatajonej masonerii.

Już w następnym numerze (19,880 z 23 marca r. b.) podaje „Echo de Paris“ pierwszą część nazwisk posłów i senatorów masonów, od litery A do D, w liczbie 50-ciu, z wymienieniem łóż, do których należą, a wśród nich znajduje się także przewodca socjalistyczny, żyd p. Leon Blum z łoży Action Socialiste.

Z TEATRU.

„Zbrodnia i kara”, wystawiona w teatrze Polskim, wprowadza nas w ciekawy problemat reakcji sumienia na grzech. W potężnej powieści Dostojewskiego, zarówno jak i w jej przeróbce scenicznej, mamy przedstawione dwa typy tej reakcji. Pierwszy człowieka pysznego, zarozumiałego jakim jest Raskolnikow, drugi człowieka pokornego, ufnego Bogu, jakim jest upadła dziewczyna Sonja. Uznaje ona autorytet Opatrzności, rozumie, że nie należy zbyt- nio zaglądać w rachunki wiekuistej ekonomji świata, a zwłaszcza mierzyć ją naszą znikomą miarą. Zrządzenia Opatrzności, cały korowód zła, które trwa i rozwija się na świecie, choć może dla nas jest niezrozumiałe, ale to nie znaczy, że pozbawione wogóle logiki. Odwrotnie Raskolnikow, ten chce pomagać Opatrzności w jej dziele, mało powiedzieć pomagać, chce ją uprzedać. Uwiedziony mitem sprawiedliwości, decyduje się pod jej urokiem na zbrodnię, aby przez nią zaprawić się do walki o lepszy ład na świecie. Miraż tego ładu stwarza mu cel, który ma uświęcić wszystkie środki doń wiodące. Lecz cel nie uświęca środków. Zbrodnia popełniona w imię wyższego celu, pojęta jako zaprawa siły moralnej, nie przestaje być zbrodnią, nie przestaje niepokoić sumienia faktem naruszenia prawa moralnego.

I pod gniotem tych skrupułów moralnych Raskolnikow rozhartowuje się, to co miało wzmoczyć jego siły, okazuje się trucizną, która rozluźniła wszystkie węzły moralnego samopoczucia. Raskolnikow nie podniósł się na duchu przez zbrodnię, przeciwnie, upadł i dopiero ekspiacja przywraca mu zburzony spokój wewnętrzny.

Ciekawy temat upośledzenia społecznego porusza sztuka „Płaszcz”, napisana przez Tuwima, a osnuta na tle znanej noweli Gogola. Historia Akakij Akakjewicza Baszmaczki jest wielce żalosa. Ostatniorzędny urzędniczy- na już samym swym zabiedzonym wyglądem budzi śmiech, a conajmniej litosć. Baszmaczkin cierpi moralnie spowodu tego swego upośledzenia i nagle znajduje sobie wyjście dość oryginalne, postanawia zafundować nowy wspaniały płaszcz mikołajewski, godny chyba ramion samego cesarza. Imponujący wygląd tego płaszcza podnosi samopoczucie i jakby rangę społeczną Baszmaczki, jak ongiś mundur szewca z Köpenick zrobił go postrachem armji i administracji. Lecz sprawa munduru w köpenickjadzie wyraża się groteskowo, w gogołowskim „Płaszczu” mamy właściwie do czynienia z czemś w rodzaju tragedji. Po suten oblewaniu nowego płaszcza, Baszmaczkin wraca do domu i, niestety, w drodze powrotnej zostaje ograbiony ze swej pysznej szuby. W porywie oburzenia na tę straszną krzywdę wdziera się w nieodpowiedniej porze do mieszkania swego szefa. Wynika stąd przykra awantura, zbesztany, zostaje wyrzucony nieomal za drzwi. Umiera w ataku sercowym. Lecz zjawa tego mści się na generale i nocą na ulicy zdziera mu z ramion wspaniały płaszcz.

Morał tej sztuki ciekawie zrobionej, świetnie wyreżyserowanej jest taki, że należy się też coś od życia ludziom upośledzonym. Morał o tyle słuszny, o ile Akakij nie będzie uznany za klasycznego przedstawiciela tych upośledzonych. Jest on bowiem dość ograniczony, jest właściwie życiowym destruktem, który nieporadnie szwenda się wśród ludzi i razporaz im przeszkadza.

ZE SZTUKI.

W Zachęcie mieliśmy kilka ciekawych ekspozycji. Dobrze się stało, że przypomniano publiczności kompozycje historyczne i alegoryczne Wocjana. Ten odsunięty w cień artysta zasługuje na uwagę. Potrafi on wydobyć w swych dziełach zarówno aurę mistyczną, jak i realistyczną. Jego Szopenowskie wizje, są pełne uroku niesamowitości. Z drugiej strony w takim Galileo Galilei ma wspaniałą, soczystą, ognistą wprost kolorystykę, ogarniającą postaci i tło w harmonijną atmosferę.

W IPS-ie zaprezentowali się nam kapiści. Paryska ta grupa młodych malarzy wykazuje od daty pierwszej

swej wystawy duży postęp w technice. Krystalizują się już talenty i dzięki temu maniera, uprawiana przez kapistów, zaczyna nabierać racji bytu.

J. St. Cz.

PIĘKNY FILM.

W kinie „Filharmonja” wyświetlają doskonały film. w wersji francuskiej, osnuty na tle słynnej powieści Claude Farrera „La bataille”. W momencie, gdy oczy całego świata zwrócone są na podboje militarne i gospodarcze Japonji, film ten daje nam ciekawy przekrój przez psychikę Japończyków, i odsłania kunsztowny mechanizm psychiczny ich osobliwego, heroicznego patriotyzmu. Dzieje markizy Jorisaka, którą mąż wydał uwodzicielowi, by za tę cenę zdobyć cenne wiadomości wojskowe, dają jedyną w swoim rodzaju okazję wglądnięcia do pobudki i pojęcie patriotycznego honoru, jaki ożywia ten dziwny naród wschodu, który jedyny bodaj na świecie z samobójstwa stworzył instytucję.

Okazuje się jednak, że bezkarnie nie można deptać w sobie człowieczeństwa, że upomni się ono o swoje prawa, im brutalniej je zlekceważono.

W doskonałej interpretacji aktorskiej, w której na czoło wysuwają się kreacje Annabeli, jako „Markizy Jorisaka” oraz Bojera, w świetnej oprawie dekoracyjnej, realizatorzy filmu z najwyższym kunsztem odtworzyli nam Japonję autentyczną, tajemniczą i pociągającą urokiem swej tajemniczości. Wysokie napięcie dramatyczne dzieła przykuwa uwagę. Tragedja markizy Jorisaka jest dziełem budzącym w widzu głębokie i żywe refleksje.

PORANEK ZEGADŁOWICZA

W Instytucie Reduta odbył się poranek Zegadłowicza. Słowo wstępne wygłosił p. Chudek, trafnie charakteryzując przemiany twórczości poety, jego wieczne poszukiwanie rozwiązania dręczącej zagadki bytu, jego rozlewność słabo kontrolowaną, obniżającą przez to ogólny wynik twórczości, jego religijność pseudo-chrześcijańską, biorącą z chrześcijaństwa, naszym zdaniem, tylko akcesorja czysto zewnętrzne, liturgję i frazeologję. Zegadłowicz niewątpliwie jest poetą wysokiego chóru, niestety mało opanowany rozlewa swe głębie razporaz w zbyt płytkim nurcie wielomówności, przeświecającym mieliznami pustki treściowej. Doskonałe recytacje dały p. Kunina, świetnie interpretująca najteższe zresztą w całej twórczości poety Beskidzkie pastorałki, dalej p. Wiercińska, podkreślająca ostry akcent Piotra Kierpca i przedziwnie matowa, jakby nie z tej planety, co zresztą pasowało do Listów i innych utworów refleksyjnych, p. Kunicka.

ZJEDNOCZENIE PISARZY KATOLICKICH

W obecnym sezonie Zjednoczenie Pisarzy Katolickich rozwinęło żywszą działalność nazewnątr. Odbyło się szereg zebrań z odczytami, poświęconemi ciekawym sprawom. Pierwsze takie zebranie miało za temat Marję Stuart, spowodu premjery w teatrze Narodowym. Prof. Tretiak dał zarys autentycznej postaci Marji Stuart i jej konfliktu z Elżbietą oraz porównał je z koncepcją Schillera. Stanisław Miłaszewski wprowadził nas w tajniki swego tłumaczenia arcydzieła schillerowskiego, a następnie odczytał kilka fragmentów, najbardziej charakterystycznych ze stanowiska katolickiego.

Następny wieczór poświęcono omówieniu książki „Deutschland und Polen”. Referent, dr. Pajewski, zidentyfikował różne jej braki i fałsze oraz nieprzychylną tendencję. Po odczycie rozwinęła się ożywiona dyskusja na temat dalszego rozwoju stosunków polsko-niemieckich. Zabierali głos prof. Halecki, ks. prał. Kaczyński i inni.

Trzeci wieczór wypełnił francuski odczyt p. Fabre p. t. „Teatr Paul Claudela”. Prelegent wprowadził nas w mistyczną atmosferę tego przodującego pisarza Francji katolickiej.

Z PIŚMIENNICTWA

KS. ZYGMUNT CHOROMAŃSKI: W obronie chrześcijańskiego małżeństwa.

Katolicka publicystyka w Polsce jest właściwie dopiero w zaraniu. Katolicy wogóle nie doceniają pióra, pisarza i słowa drukowanego. Toteż tę wielką dziedzinę kultury, jaką jest prasa i książka pozostawili na pastwę sił sobie wrogich. Na smutne rezultaty nie trzeba było długo czekać. Propaganda wolnomyślna, wsparta zresztą wysoką falą liberalizmu zachodnio-europejskiego, zalała nasz kraj, i zamuliła umysły szkodliwymi doktrynami. Po epoce t. zw. organicznej przyszła w Polsce epoka pozytywizmu, materializmu i socjalizmu, która wydała liczny zastęp pisarzy tworzących całą szkołę myślenia, którzy nastawili polską umysłowość na zgola fałszywy ton. Zasięg tej fali materialistycznej obejmuje i nasz czas. Reakcja katolicka przeciw niej nie była ani wielka ani silna. Dwa najwyższe trzy organy prasowe przed wojną, jak „Przegląd Katolicki“, „Rola“, „Dziennik Powszechny“, i to wszystko. Również nie zawiele było w Polsce Veillotów, Helłów, Pierre l'Ermitów czy Bremondów.

I dzisiaj dopiero widzimy ujemne skutki tego szkodliwego zalewu, tak niecałkowicie otamowanego. Wpływ myśli demoliberalnej, indyferentystycznej, posianej lat temu kilkadziesiąt, dziś sięga we wszystkie dziedziny życia zachłannymi korzeniami chciwie wypijającymi, jak rak, żywotne soki i siły narodu.

Rozchuśnięcie niezdrowych tendencji społecznych stworzyło na organizmie młodego naszego państwa szkodliwe narażenie pasożytnicze różnych instytucji, które ten organizm nie organizują a dezorganizują. Co gorsza wolna myśl, granicząca z ateizmem, wlewa zatrute jady wprost do najważniejszych stref organizmu narodowego, pod pretekstem bardzo efektownym „zmiany ustroju“ i nastroju.

Najgorętsze bodaj ataki wymierzono w instytucję rodziny, która u nas w jej tradycyjnej formie była niewątpliwie najtęższą twierdzą obronną przed zakusami pseudoreformatorów. Ich ataki ułatwia przytem gwałtowne przeobrażanie się stosunków w gospodarce społecznej, na całym zresztą świecie, zatrutej wyziewami „moralności bez powinności i sankcji“.

Zachwianie się rodziny u nas wyraża się z jednej strony falą rozwodów, stanowiących czystą intratę różnych sekciarzy, z drugiej spadkiem urodzeń.

Ten stan rzeczy zamiast wywołać rozumną i celową reakcję, doprowadził ze strony pewnych sfer do stworzenia kodeksu małżeńskiego, właśnie sankcjonującego rozwody.

Oczywista rzecz, że ten szkodliwy projekt musiał się spotkać z kategorycznym protestem katolickiego społeczeństwa i publicystyczną kontrakcją. Jednym z niezbyt zresztą licznych jej przejawów jest dziełko ks. kanclerza Choromańskiego: owoc paroletniej jego akcji publicystycznej.

Piórem, dobrze zaprawionem i wyostrzonym, godzi on w apostołów pseudoreformy małżeńskiej, wykazuje jej niedopuszczalność ze stanowiska nauki katolickiej, moralności, dobra państwa i społeczeństwa. Szymierzom rozwodów wymierza teście ciosy, przyłapuje ich na niekonsekwen-

cjach, piętnuje ich oportunistów, demaskuje obłudę, pokrywającą się troską o wyższy poziom życia, a w gruncie rzeczy holdująca wyuzdaniu.

W ten sposób stwarza wielostronny, pogłębiony obraz zagadnienia, odmalowując rolę społeczną małżeństwa i rodziny, w jej tradycyjnym, chrześcijańskim pojęciu. Wskazuje więc właściwą drogę odpowiadającą potrzebie czasów i człowieka.

W wyniku powstał zbiór artykułów, który ukazał nam publicystę kapłana, jednego z szeregu dobrze zasłużonych pod katolickim sztandarem, jak niezapomniani ks. ks. Nowodworski, Niedziałkowski, Dębicki.

Pożyteczne i wysoce interesujące dziełko ks. kanclerza, żywy dokument czasów, ludzi i zagadnień, winno się znaleźć w każdym ręku. cki.



EUSTACHY CZEKAŁSKI. Wśród burzy. Powieść. 1934.

Nowa powieść Czekalskiego wprowadza nas w atmosferę przelomu wojennego i odzyskania niepodległości. Wypadki dziejowe, tworzące tło egzystencji zubożonej rodziny inteligenckiej, odbijają się na jej młodych przedstawicielach, dwu dorodnych pannach, poważnych refleksem, zwłaszcza w dziedzinie obyczajowej. Autor zwręcznie, w artystycznej wizji odsłania nam obraz przeobrażeń obyczajowych, jakie się dokonywują w naszym pokoleniu i ukazuje całą nikłość osiągniętych „zdobycz“ Uproszczenie życia bynajmniej nie przyniosło wzbogacenia jego możliwości. Raczej przeciwnie, Panny Przewalskie, Henia i Magda, budzące zresztą chroniczne zdumienie w starego pokroju myślowego matce swemi metodami ułatwiania życia i zalatwiania jego spraw, nie osiągnęły bynajmniej „szczęścia“. W swej trzeźwości omyliły się obie, układając sobie los według złej, bardzo złej miary. Ich dzieje, ich perypetje, stanowią wyrazistą ilustrację prawdy, że połowę błędów w ży-

ciu popełniamy z nadmiaru serca, a drugą z nadmiaru rozsądku.

Obie panny wyszły rozsądnie zamąż i obie nie obliczyły ważnej, bardzo ważnej pozycji swego serca. Magda przeceniła zresztą również i swego partnera, uczciwość jego zobowiązań, opartych na konwenansie. Henia przeceniła siebie i uczciwość swoich zobowiązań. Więc też po tej kąpieli w ciepłej wodzie trzeźwości rzuciła się w odruchu reakcji uczuciowej na wartki, mroźny prąd miłosnej przygody, i omal nie utonąła.

Nowy jej partner, dla którego porzuciła statecznego męża, okazał się stuprocentowym nicponiem, których zresztą masa, jak grzyby trujące, wyrosło po deszczu i burzy wojennej. Każde jego słowo było kłamstwem, jeśli nawet nie spremedytowanym wskutek podłości, to przecież nie mniej groźnym kłamstwem człowieka słabego charakteru. I oto, rzecz zdumiewająca, w tej właśnie jego słabości moralnej, podlanej sosem kłiwego sentymentalizmu i artystycznego kabotyństwa — trzęsła Henia znajdując atrakcję. Zdużone pragnienie choć odrobiny piękna w życiu, poezji istnienia — odezwało się w takiej zwyrodnialej formie. Oczywiście rzecz, że ta przygoda w wyprawie po szczęście okazała się omyłką. Zdumiewający jest przytem w bohaterce tej omyłki odruch uczciwości, czy raczej pseudouczciwości. Gdy porzucony mąż proponuje pojednanie, Helena przez pół roku się waha, spowodu skrupułów, czy to będzie godne i właściwe załatwienie sprawy.

Przedziwne to perypetje sumienia, które było głuche, gdy pędziła za mirażem pseudoszczęścia, i które nagle odzywa się głośnym protestem, gdy wraca na bity trakt obowiązku, i nietylko obowiązku, bo przecież spokoju i ładu życiowego. Wypowiedziana jest w tem jednak głęboka prawda psychologiczna, którą znał już psalmista: video mellora, proboco, de terlor sequor. Ten pęd ku z'u, pęd ómy, zafascynowanej sztucznym światłem jest odwieczną chorobą gatunku homo.

Autor ukazał ją nam w aktualnym przekroju, jako chorobę wieku. Oczywiście miał rację: akcesesja tej choroby się zmieniają choć predyspozycja stara wynikająca ze skażonej natury ludzkiej. Autor zakończył swe dzieło, akcentem optymizmu wskazując droge powrotu. Szukanie tych dróg prosto jest znamię literatury wyższego rzędu, która nad zagmatwaną zjawiskością życia stara się stworzyć mocną i piękną nadbudowę, świadomości celu istnienia i jego ładu. Godne to artysty wysiłki, uwiecznione tu, doskonałym wynikiem.

Dyskretny realizm autora, zwarty, jędrny styl, ekonomia budowy utworu, składają się na dzieło dojrzałe.

f. n. cki.

ZOFJA LIPKOWSKA: Z podlaskich nastrojów. Poezje. Lwów. 1926 str. 52.

Szczerym sentymentem nacechowany jest ten poetycki zbiorek. Autorka rozprawia formą łatwą i melodyjną, skłania się ku tematowi patriotycznym i romantycznym.

JADWIGA FILIPOWICZÓWNA. Rozkosze nieba. Warszawa 1932. str. 32.

KS. FR. RUTKOWSKI: Arcybiskup Jan Cieplak, 1934, str. 417.

Monografia ta, bogato udokumentowana, stworzona z pietyzmem — świadczy o pokrewieństwie duchowym autora z arcybiskupem, którego był oddanym współpracownikiem.

Do najciekawszych momentów książki należy przedstawienie przebiegu procesu w Moskwie, wytoczonego arcybiskupowi przez bolszewików. W gronie oskarżonych był także i sam autor monografii.

Odbyła się komedia wymiaru sprawiedliwości. Cyrkowe przedstawienie, w którym usiłowano naigrawać się z bohaterów wiary i pracowników na niwie Bożej. Dziś (z perspektywy czasu) widzimy, że rola błaznów przypadła niefortunnym prześladowcom Kościoła.

Autor mistrzowsko przedstawił zarówno sylwetkę arcybiskupa jak i tło epoki, ludzi i miejsca wśród których wypadło mu działać. Bogactwo materiału, sięgającego do kwestii trudnych, zawyłych a wysoce aktualnych, nadaje książce wysoką wartość rzeczową, poza jej praeitium affectio-nis, wynikającą z ogromnego oddania i czci autora dla przedmiotu jego monografii.

KS. KAN. FR. KULIGOWSKI: Czytania majowe, na temat pieśni polskich o Najświętszej Pannie, w zastosowaniu do czasów obecnych. Warszawa 34 r. Kat. Tow. Wydawnicze „Kronika Rodzinna” — str. 240. Cena 1 zł. 50.

W nowym, uwzględniającym czasy obecne, opracowaniu, ukazały się doskonale „Czytania majowe” ks. kan. Fr. Kuligowskiego.

Myśl oparcia rozważań majowych na tle najpiękniejszych pieśni polskich o Matce Boskiej znalazła szerokie uznanie, czego najlepszym dowodem wyczerpanie się pierwszego wydania „Czytań. Na liczne żądania zostało dokonane drugie wydanie w nowym opracowaniu i niewatpliwie znajdzie równie życzliwe przyjęcie.

Ks. kan. Fr. Kuligowski, jako wieloletni proboszcz, zna doskonale życie parafjan swoich, dzięki czemu, rozważania czysto religijne ilustruje przykładami z życia potocznego, co „Czytaniom” dodaje wiele wartości praktycznej i czyni je przystępnymi dla wszystkich słuchaczy i czytelników.

Całość zasługuje na uwagę i poparcie.

Podstawy wiary. Katolickie Towarzystwo Wydawnicze „Kronika Rodzinna” Warszawa, Podwale 4, przystępuje do druku gruntownie opracowanego w 4-ch częściach dzieła, napisanego przez **KS. PRAŁATA DR. JANA BĄCZKA** b. profesora Akademii Duchownej w Petersburgu.

Część pierwsza wyjaśnia i popularyzuje główne dowody istnienia Pana Boga i poznania Go. Część druga przedstawia ostatnie zdobycze wiedzy biblijnej. Część trzecia daje wyczerpujący obraz cudów Chrystusowych, zwłaszcza Jego Zmartwychwstania. Część czwarta wyklada o Kościele katolickim, którego znamiona, jako społeczności złożonej i kierowanej przez Boga — Człowieka, są jawne całemu światu. Całe dzieło utrzymane na poziomie wiedzy współczesnej, może służyć jako fachowo i gruntownie opracowany podręcznik w zakresie najważniejszych zagadnień duszy ludzkiej i zadań człowieka. Nadaje się znakomicie zarówno do wyko-

rzystania szkolnego jak i do prywatnego użytku.

Kto powyższe dzieło zamówi i opłaci przed wyjściem z druku I-jej części (około 15 kwietnia 1934 r.) otrzyma je tylko po 5 zł. za egzemplarz (cena po wyjściu wypadnie 8—10 zł.). Pieniądże (po 5 zł. za komplet) należy wpłacać przez P. K. O. Nr. 10.703 Katolickie Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA „Pamięczym szlakiem”. (Wrażenia z pielgrzymki). Nakł. Księgarni św. Wojciecha — str. 245.

Może się zdawać, że nowy opis wrażeń z Ziemi Świętej nie potrafi już nic oryginalnego i nowego dodać do przesłanych prac dawnych pielgrzymów, uczonych, archeologów, teologów i publicystów. A jednak jest inaczej! Te same miejsca, te same miasta święte, ruiny, świątynie, które tak licznym pamiętnikom dawały natęczenie i impuls do opisania przeboganych wrażeń już w średniowiecznych „Itinerariach”, skłoniły i autorkę „Pożogi” i „Szaleńców Bożych”, do napisania nowej książki o Ziemi św.

Kossak-Szczucka, jako pielgrzym patrzyła na to wszystko, co jej poprzednicy postrzegali, a jednak patrzyła inaczej. Jako literatka, widziała więcej jak miejsca święte, prastare zabytki, meczety. Widziała piękno historii i przeszłości tak chwalebnej, jak smutnej i krwawej.

Błękit południowego nieba, Afryka — legendarny Wschód, nie zdołały zasłonić przed autorką wewnętrzną rzeczywistości. Ruiny i brud, zabobony arabskie, przepych luksusowych przedmiotów europejskich, miejsca święte i ich greccy, fanatyczni opiekunowie, to wszystko składa się na charakterystyczny obraz Wschodu, który się nie wszystkim pielgrzymom odsłania w pełni blasków i cieni. W obiektywnych spostrzeżeniach autorki przebiega prawdziwe ukochanie przedmiotu, znajomość historii starożytnej, oraz głębokie przeżycie religijne. Zabytki święte, oświetlone parafrazami doskonale dobranych cytatów Ewangelji, odświeżają chwalebną przeszłość tak, że czytelnik ją przeżywa — jakby nieznaną i nową.

Artyzm literacki, i potoczny styl pociągają czytelnika. W psychologii głębokie, a w formie dowcipnie ujęte rozmowy, budzą i zainteresowanie i humor. „Pamięczym szlakiem”, jest nietylko nowym tomem, wzbogacającym literaturę polską o Ziemi św., ale wnosi do niej coś, czego dotąd nie było. Jest dziełem literackim autorki o dużych walorach pisarskich, i musi zadowolić nawet dość wybredny gust.

NEHRING E. Kaktusy w mieszkaniu. Z 25 rycinami. Wyd. II. Warszawa. Str. 70. zł. 1.50.

Kaktusy weszły dziś powszechnie w modę i należą do koniecznych ozdób współczesnego stylu wewnątrz mieszkaniowych. Coraz to nowe odmiany, wprowadzone na rynek przez ogrodników, wymagają umiejętności w pielęgnowaniu tych egzotycznych roślin, które wcale dobrze hodują się i kwitną w pokoju.

W książce p. Nehringa miłośnicy kaktusów znajdą cenne wskazówki, jakie odmiany najlepiej nabywać i jak postępować, aby uzyskać dobre rezultaty.

MARJA SUCHORZEWSKA (Esmarja) Moja Luteńka. 1930. Kronika Rodzinna.

Miłe wiersze, owiane zapalem i nastrojem religijnym. Forma wyrobiona.

WITOLD ŁASZCZYŃSKI. Wysoki próg. Poezje. Warszawa 1932, str. 225. Nakład Kom. Jubileuszowego.



Ś. P. MARJA HLONDOWA

Dnia 27/XII r. ub. w Stujmiej na Śląsku przeniosła się do wieczności w wieku 75 lat ś. p. Marja Hlondowa, matka Ks. Kardynała-Prymasa. Całym swoim nastawieniem duchowym należała do tego pokolenia śląskiego, które z przysłowiową religijnością łączyło nierozdzielnie stare tradycje polskie tej piastowskiej ziemi. Była matką dwanaściorą dzieci, którym była całkowicie oddana. W skromnych warunkach zdołała dać dzieciom takie podstawy życiowe przez gruntowne wychowanie religijne, że czterech jej synów poświęciło się pracy w Zgromadzeniu salezjańskim, z których ks. dr. August Hlond powołany został ze stanowiska inspektora prowincji austriacko-niemieckiej na administratora nowoutworzonej diecezji śląskiej, której następnie został pierwszym biskupem, a później mianowany został arcybiskupem-prymasem gnieźnieńskim. Drugi syn ks. Antoni piastował przez szereg lat urząd prowincjała inspektorji polskiej.

Uroczysty pogrzeb ś. p. Marji Hlondowej odbył się 29 grudnia w Mysłowicach z udziałem księży biskupów Adamskiego i Gawliny, licznego duchowieństwa i wiernych.

Ś. p. Marja Hlondowa była jedną z pierwszych matron polskich, która dzieło ks. Bosko najgłębiej odczuła i poświęciła dla niego najdroższe swoje skarby.

J. Em. Ks. Kardynałowi, ks. Antoniemu i całej rodzinie składamy wyrazy serdecznego współczucia.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

O! Ojcie miłosierdzia i Boże wszelkiej pociechy, dzięki Tobie, że mnie, niegodnego żadnej pociechy, pociechą Twoją wspierać i ochładzać raczysz.

Błogosławię Cię zawsze i wielbię z jednorodzonym Synem Twoim i z Duchem świętym pocieszycielem, na wieki wieków.

Ach! Panie i Boże! Święty Miłośniku mój! gdy Ty zawitasz do serca mego, rozradują się wszystkie wnętrzności moje.

Tyś chwałą moją i radością serca mego, Tyś nadzieją i ucieczką moją w dniach utrapienia.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

7.000.000

SIEDEM MILJONÓW ZŁOTYCH POLSKICH ZEBRAĆ MA NARÓD W CIĄGU BIEŻĄCEGO ROKU NA FUNDUSZ OBRONY MORZA

I zbierze. Zbierze dlatego właśnie że bieda dokoła, że bezrobocie, że rozpacz, że ludzie chodzą złamani, że dzieci bledną, i że w tej chwili, jeżeli nie będziemy pomagali — sami sobie, jeżeli troska o dobro całego kraju, jeżeli miłość bliźniego nie zgniecie w duszach naszych wszystkich egoizmów — to doprawdy nie będziemy warci — daru życia.

Te miliony — są niezbędne do pewnych przesunięć gospodarczych w dziedzinie naszej floty. Tych milionów nie może zabraknąć i dlatego od 10 lutego, po całym kraju rozbrzmiewa hasło, które przechodzi z ust do ust, z domu do domu, i ogarnia cały Kraj, wszystkie jego zakątki i przynosi plon na ogłoszoną:

STAŁĄ, POWSZECHNĄ I DOBROWOLNĄ choćby najdrobniejszą ofiarę, na Fundusz Obrony Morza naszego.

Ten fundusz **DZIŚ** zbierany — to zapewnienie **JUTRA**. To stwierdzenie wiary we własne siły, to podniecie do walki o istnienie, w której jesteśmy żołnierzami. Musimy być karni, posłuszni nakazowi, przekonani, że niema tak małej ofiary, która nie przyczyniłaby się do dopełnienia całej niezbędnej cyfry — **SIEDMIU MILJONÓW ZŁOTYCH**.

Kobiety — wielką mogą odegrać w tej pracy rolę, aż do jej należytego wykonania. Właśnie kobiety. Właśnie my, które doskonale rozumiemy, co znaczy w domu drobna oszczędność. My, urodzone administratorki wszelakiego mienia. My — pracowite, my wytrwałe, my umiejące odmawiać sobie niejednego, dla do-

bra najdroższych, my wygimnastykowane myślą w zabiegach o dobro rodziny, my winnyśmy **RODZINĘ — NARÓD**, ofoczyć w tym momencie — nie połową, **CAŁYM SKARBEM NASZYCH SERC**.

My, weźmy te pięcio-dziesięciogroszowe znaczki, które są w obiegu, zmieniamy je na grosze z wiarą, że idą na cel, który jest Kraju obroną i dajmy dowód, że nie było i nie ma ważnej sprawy dotyczącej dobra Polski, która nie byłaby najważniejszą **NASZĄ** sprawą, po wszystkie czasy.

Zarząd „Oddz. Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej” na swem Walnem Zebraniu, jedyny wniosek, jaki do uchwalenia przedstawił zgromadzonym, brzmiał: „Zarząd, nie zaniedbując programu swej dotychczasowej działalności — stawia w roku bieżącym, na pierwszym planie swej pracy:

ZBIÓRKĘ NA FUNDUSZ OBRONY MORZA. Wzywa wszystkie kobiety polskie do najgorliwszej organizacji i propagandy:

STAŁEJ, POWSZECHNEJ I DOBROWOLNEJ ZBIÓRKI na rzecz funduszu, który, stanowiąc środki do obrony Morza, będzie podwaliną utrwalenia bezpieczeństwa Kraju i normalnego rozwoju Państwa.

Setki Kobiet zgromadzonych w Oddziale — nie zawiodą. Nie mogą zawodu zrobić i miliony, do których zwracamy te słowa — z wiarą w ich serce, rozum i siłę.

L. KOTARBIŃSKA

AUDJENCJA PIELGRZYMÓW POLSKICH U OJCA ŚW.

W sprawozdaniu nadesłanem z Rzymu do „Kurjera Warszawskiego“ czytamy:

„Ojciec św. przyjął na specjalnej audjencji Polaków zamieszkałych w Rzymie oraz pielgrzymów polskich zarówno świeckich jak i duchownych, którzy w liczbie kilkuset przybyli do Watykanu w związku z uroczystościami wielkanocnymi i zakończeniem Roku Świętego. Audjencja odbyła się w wielkiej sali książęcej i miała charakter bardzo uroczysty. Ojciec św. w otoczeniu swej świty oraz w towarzystwie Ks. Prymasa Polski Kard. Hlonda i ambasadora Rzplitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej, Skrzyńskiego, obszedł szeregi wiernych, dając im do ucałowania pierścien. Wielu z obecnych przedstawionych było Papieżowi przez Ks. Prymasa. Następnie Ojciec św. zasiadł na tronie. Po prawej stronie Ojca św. zajął miejsce Ks. Prymas Hlond, a po lewej ambasador Skrzyński. Skolei nastąpiło 25-minutowe przemówienie Papieża, który powitał pielgrzymów polskich słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, wypowiedzianymi po polsku, na co zebrani chórem odpowiedzieli: „Na wieki wieków. Amen“,

poczem rozległy się gromkie oklaski i okrzyki na cześć Ojca św.: „Niech żyje“! Ojciec św. w swem przemówieniu podkreślił, że wita obecnych jako reprezentujących wszystkie dzielnice tak drogiej mu Polski, a nawiązawszy do ostatnich uroczystości kościelnych i kanonizacji Jana Bosko, życzył zebrany, aby prowadzili pełne i bogate życie chrześcijańskie. Następnie Ojciec św. powitał przedstawicieli Akcji Katolickiej oraz udzielił błogosławieństwa kapłanom i biskupom polskim, oświadczając, że błogosławi wszystkich na całe życie w całym kraju.

Po przetłumaczeniu mowy Ojca św., wygłoszonej po włosku na język polski przez Ks. Prymasa Hlonda, Ojciec św. wstał i udzielił błogosławieństwa zebrany, żegnając pielgrzymkę polską słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, na co znów odpowiedziano: „Na wieki wieków. Amen“. Opuszczającego salę książęcą Ojca św. żegnały gromkie oklaski oraz okrzyki „niech żyje“! Pielgrzymi polscy otrzymali od Ojca św. upominki w postaci medalionów, przedstawiających wizerunek św. Jana Bosko.

KOBIETY POLSKIE WE LWOWIE WOBEC LISTU EPISKOPATU

Na dobrze nam znany list pasterski, pełen troski o dobro duchowe społeczeństwa naszego, zawsze dzielne i gotowe do wszelkiej obrony, której potrzebuje kraj — kobiety kresowe, odpowiedziały w następujących słowach:

„My, kobiety miasta Lwowa, stojące na gruncie katolickim i narodowym, jako spodbierczynie wielkich tradycji kresowych „przedmurza chrześcijaństwa“ — jako matki i wychowawczynie nieśmiertelnych „Orląt lwowskich“, wyrażamy naszemu Najczcigodniejszemu Episkopatowi całej Polski najgłębszy hołd pełen wdzięczności, za stanowisko zajęte w obronie najwyższych wartości duchowych Narodu, jakimi są odziedziczone po przodkach wiara naszego Kościoła i oparta o nią rodzina katolicka.

Ślubujemy też Wam, Dostojni nasi Arcypasterze, że w myśl wskazań Waszych, na straży tych najwyższych ideałów wiernie, czujnie i wytrwale stać będziemy, że w całej świętości i czystości przekażemy je dzieciom naszym, gotowe zawsze w obronie ich do najwyższych ofiar.

We Lwowie, 17 marca 1934.

Wanda Bogdanowiczowa, przewodnicząca Kongregacji Ziemianek Ziemi Pokuckiej pod wezwaniem Matki

Boskiej Kochawińskiej; Wanda Łuczkiwiczówna, przewodnicząca Sodalicii Nauczycielek; Stefanja Czaykowska, przewodnicząca Kongregacji Ziemianek pod wezwaniem Matki Boskiej Kochawińskiej; Marja Błahowa, przełożona III Zakonu S. O. F. Kongregacji Sióstr przy kościele OO. Bernardynów we Lwowie; Helena Dniestrzańska, przewodnicząca Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo przy parafii OO. Bernardynów; Marja Demelówna, przewodnicząca Narodowej Organizacji Kobiet; Helena Paygert, przewodnicząca Sekcji Młodych Narodowej Organizacji Kobiet; Agata Kardasiowa, przewodnicząca Bractwa Różańcowego przy parafii św. Wincentego a Paulo; Helena Sklimowska; Rozalja Wideniowa; Kazimiera Stawarska; Anna Szporowa; Kazimiera Późniakowa; Zenobja A. Burzyńska; Alina Woycicka; Wanda Szczepańska; Wojciechowa Dziedzicowa; Antonina Kremerowa; Janina Morawiecka; Marja Tarnowska; Jadwiga Zaboklicka; Zofja Czernowa; Marja Scherffowa; Helena Soroczyńska; Halina Tomaszewska; Anna Riegerówna; Marja Święcicka; Hersylja Borzemska; Marja Opieńska.

Następuje wielka ilość podpisów wybitnych działaczy społecznych na terenie Lwowa.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć koniecznie powinna, że za wszelkie opóźnienie wpłat za ubezpieczenia społeczne, zapisują się k a r y. Aby ich uniknąć, płacić trzeba natychmiast po odebraniu odnośnego zawiadomienia przeznaczoną na nas sumę.

Wiedzieć musi każda pani domu to, co nam do wiadomości podaje, a do wykonania zaleca pierwsza karta doskonale zredagowanej książki rachunkowej i informacyjno-gospodarczej „Kobiety Współczesnej“. A brzmi to jak następuje:

1. Nie ufaj swojej pamięci.
2. Nie odkładaj rachunków do jutra.
3. Zapisuj każdy wydatek.
4. Zakończ rachunki wpisaniem salda na dzień następny

5. Sprawdź czy saldo książkowe zgadza się z pieniędzmi w kasie.
6. Przechowuj kwity.
7. Staraj się wnieść co miesiąc na książeczkę oszczędnościową P. K. O. chociaż minimalną sumę.
8. Płać podatki we właściwych terminach.
9. Nie żałuj na rzeczy potrzebne.
10. Zamknij rachunki nadwyżką wpływów.

Wiedzieć musimy wszystko, co dotyczy nowej reformy w dziedzinie handlu mlekiem. A więc to właśnie że: zgodnie z rozporządzeniem p. komisarza rządu, w obrębie całego starostwa śródmiejskowszawskiego oraz w komisariatach 8 i 11 starostwa południowowszawskiego i 2 ko-

misarjatu starostwa północnowarszawskiego, handel mlekiem na miarę będzie mógł się odbywać od 20 kwietnia tylko w sklepach nabiałowych, za które uważane są sklepy, handlujące głównie mlekiem i jego przetworami i trudniące się dodatkowo handlem artykułami w naczyniach zamkniętych (konserwy, przetwory owocowe) lub w opakowaniu fabrycznym oraz pieczywem. Ponieważ termin wprowadzenia tego przepisu jest już bliski, rozpoczęto uświadamianie kupiectwa o rozporządzeniu. Wydano zarządzenie, aby niedopuszczać do handlu z wozów mlekiem i jego przetworami. Prowadzona będzie od 20 kwietnia kontrola, mająca na celu niedopuszczanie do wkraczania do miasta domokrajnych handlarzy mlekiem. Dostawcy mleka do sklepów spożywczych i do zakładów mleczarskich będą musieli być zaopatrzeni w zaświadczenia właścicieli tych zakładów, stwierdzające, że istotnie dostarczają dla nich mleko. Jednocześnie wzmocniony będzie nadzór nad krowiarniami w celu uniemożliwienia handlu domokrajnego tem mlekiem.

Wiedzieć należy, co sprowadzamy z zagranicy? Ciekawą statystykę w tym zakresie powtarzamy za „Kroniką Kobiecą”, doskonale redagowaną przez naszą postankę, p. Zofję Zaleską w „Kurjerze Warszawskim”:

...W roku 1933 sprowadziliśmy: mydeł toaletowych i leczniczych, bielidła, różu, pudru, środków do farbowania włosów, pomad kosmetycznych i t. p. 855 q., wartości 1.814.000 złotych.

...Z zakresu drobnych wyrobów metalowych przywieźliśmy w roku 1933: szpilek, haftek, sprzączek i t. p. 316 q., wartości 256.000 złotych.

...W tymże okresie sprowadziliśmy: igieł do szycia, igieł do maszyn do szycia, prątków do pończoch i szydełek przeszło 200 q., wartości około 1.000.000 złotych.

...Ponadto przywieźliśmy w roku 1933 środków do czyszczenia obuwia 321 q., wartości około 150.000 zł.

...Past wszelkich, środków do czyszczenia metali i t. p. 1.239 q., wartości 588.000 złotych (wobec 575 q., wartości 324.000 zł. w roku 1932).

Gospodynie polskie i uświadomione gospodarczo i obywatelsko panie domu szczególnie bacznie przyjrzeć się powinny wymownym tym cyfrom. W ich rękach leży możliwość skasowania tego rodzaju importu. Nie wolno pozwalać sobie narzucać obcych produktów przez niesumienne kupców, ani tembardziej żądać zagranicznych wyrobów, gdy mamy swoje”.

Wiedzieć nie tylko trzeba, ale należy, na co i ile płacić mamy składek. Słusznie też Ministerstwo Oświaty wyśosowało do kuratorów okólnik w sprawie składek pie-

niętych wśród młodzieży szkolnej z którego dowiadujemy się, że:

Poza składkami, opłacanymi przez młodzież na cele instytucyj szkolnych, które sama młodzież zakłada i niemi kieruje, zbieranie składek pieniężnych na terenie szkolnym dopuszczalne jest wyłącznie na cele: Towarzystwa Popierania Budowy Szkół Powszechnych; L. O. P. P. w zakresie kół szkolnych; Ligi Morskiej i Kolonjalnej; Polskiego Czerwonego Krzyża; funduszu szkolnictwa polskiego zagranicą; dożywianie dzieci szkolnych.

Z wyjątkiem zbiórek na Towarzystwo Popierania Budowy Szkół Powszechnych, zbiórki na inne cele, wymienione wyżej instytucje podejmować może jedynie sama młodzież, w ramach kół szkolnych, bez ingerencji nauczycielstwa. Świadczenia finansowe na powyższe cele nie mogą przekraczać minimalnych opłat groszowych. Kuratorowie okręgów szkolnych są osobiście odpowiedzialni za przestrzeganie tego okólnika.

Wszelkie interwencje w przedmiocie zbiórek pieniężnych na terenie szkolnym ze strony jakichkolwiek osób, czy organizacji społecznych, należy bezwzględnie załatwiać odmownie. Gdyby kurator okręgu szkolnego uznał jakąś zbiórkę za wyjątkowo wskazaną, musi uzyskać zgodę Ministernum na jej zapoczątkowanie.

Do szeregu wymienionych potrzeb na dary ogólne zaliczona niezawodnie zostanie jeszcze jedna składka na „Fundusz Obrony Morza”, którą w tym roku ogarnąć musi cały naród swą pieczę. Miesięczne, choćby najdrobniejsze, ale stałe datki, stworzą ten fundusz kilkamiljonowy, który jest niezbędny dla naszej gospodarki morskiej. Składka musi być w tym roku, choć dobrowolna, ale stała i powszechna. Wszystkich zaś objaśnić należy, że każdy grosz ofiarowany, kwitowany jest znaczkiem wartości otrzymanej w gotówce i że każdy bezpośrednio, nie obciążonej żadnym administracyjnym kosztem, przechodzi w całości na Fundusz Obrony Morza.

Wiedzieć przyda się, choćby dla objaśnienia drugich, że p. minister komunikacji, Butkiewicz, polecił obniżyć czynsz dla lokatorów budynków kolejowych, zajmowanych przez urzędników i pracowników polskich kolei państwowych i to od 1 kwietnia r. b.

Wiedzieć trzeba i korzystać należy z poradni gospodarczej, którą zorganizowały nauczycielki seminarjum gospodarstwa domowego. Poradnia udziela bezpłatnie wszelkich wyjaśnień i wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego w każdą środę, w godzinach od 4—6 po południu, w lokalu seminarjum. Nowowiejska 43.

WIOSNA, WYCIECZKA I MODA

Słońce, pogoda i jasne światło! To właśnie kojarzy się równorzędnie z planem na lato, z wycieczką po kraju, i... ze zmianą w garderobie.

Bo, już futro schowane, długie palto — za ciężkie, i ani jedna fałdka podniszczona przez zimę sukni, ani jedna plamka, nie ukryje się pod falami światła, jakie nam niebo zsyła w dnie pogody.

A jednak, mimo onego nieszczęsnego „kryzysu”, który piszemy w cudzysłowie, niby jakiś obcy wyraz, choć to bliski znajomy, na codzień, o pewnym odświeżeniu ubrania pomyśleć trzeba. Jedno uprać, co doskonale można zrobić w domu z pomocą l u x u, drugie p a n a m a — odczyścić. Do spódniczki, zrobić samej, szydełkiem lub na drutach, bluzeczkę, której koszt, tym sposobem wyprodukowanej, wynosi trzy złote, jak nas objaśniała, zawsze świeżo i ładnie ubrana młoda osoba — ale staranna i pracowita. Modne są krótkie kaftanki, zupełnie odmienne od całości sukni, narzucone nawet na zeszlóroczną, czynią ją odmienną. Więc np. czarna sukienka, kaftanik, bo to nie żakiet, z podszewką

i krawieckiej wymagający roboty, ale poprostu kaftanik z materiału w kratę czy paski czarne z białem, karkarda związana z szalika lekkiego w tym samym tonie, już ożywią całość — bardzo niewielkim kosztem. A także owe pelerynki krótkie, do sukien czarnych — niebieskie, popielate, jakie kto chce. Nawet rękaw podniszczony można tym samym co pelerynka kolorem ożywić, dając mu od łokcia albo gładkie albo zakończenie bufą czy falbanką.

Kolory i barwy z młodością harmonizują doskonale. Jeśli jednak chodzi o praktyczną stronę ubrania, o czym pamiętać musimy przy każdym na garderobę wydanym groszu, to radzimy barwy popielate czy brązowe, granatowe we wszelkich odcieniach, a oczywiście i czarne z białem połączone, zawsze i najładniejsze i pewne, że każdemu w tem dobrze i że się nigdy nie opatrzy. Kolor pociąga za sobą, dobranie kapelusza, rękawiczki, nawet pończochy i bucika, żeby całość była harmonijna; kto ma dużo sukien, czego nikomu nie radzimy, musi o tem pamiętać. Tymczasem, choćby dwie zmiany

ubrania, a więc, jedna suknia czarna, druga popielata — doskonale znoszą ten sam kapełusz, te same rękawiczki i z małą odmianą czy pelerynki, czy tak bardzo modne szaliki. Oczywiście można i do zielonej czy niebieskiej sukni wziąć wykończenie toalety — czarne, ale to dobre na raz, dwa. Łatwo się sprzykrzy. Modne dziś wszelkie włóczkowe kamizelki, bluzki, nawet szaliki, małym kosztem, doskonale dopełniają ubranie, o czym myśleć trochę każda z kobiet musi, bo jednak, pewna z jej strony o d o b a d o m u łączy się z jej osobą nierozzerwalnie i staje się niemal jej obowiązkiem.

Złączyliśmy z wyrazem — m o d a — wiosnę i wycieczkę. Tak, bo łączy się te pojęcia nierozzerwalnie.

Dziś już wszyscy wiemy, że każda chwila spędzona gdzieś zdala od pyłu i dymu miasta, to leki dla naszych

pluc i całego organizmu najpewniejsze. Dlatego, sprawiając coś, segregując nasze odzieżowe potrzeby, pamiętajmy, aby w garderobie było coś przeznaczone specjalnie na wycieczkę — za miasto. A że wtedy może spotkać czasem i burza i ulewa, więc niech to będzie właśnie ta zeszlorcza spódniczka, ten sweterek wyprany, te buciki już podniszczone, bo nowych szkoda, — Słowem, to wszystko czego nie szkoda, choćby się z niespodzianką pogody spotkało, co by nam zostawiło swobodę ruchów i pozwoliło beztrudno napaść się cudami Bożego dzieła w przyrodzie. O tem właśnie już dziś pamiętać trzeba, bo złączone z wycieczką zdrowie, to jedno z tych bogactw, które często lekceważymy, ale które dają najwyższe zadowolenia i bezcenne.

Mrówka.

WYSZYCIA WOŁYŃSKIE

Wśród coraz bardziej zanikających haftów ludowych, można wyłowić niekiedy cenny okaz starej techniki haftarskiej. Jest to niezwykle żmudna praca, gdyż strój ludowy rodzimy ginie coraz bardziej, a haft ręcz-



Haft z koszuli wiejskiej ze wsi Rewiatócze
fot. Marja Stefkowa

ny nie miał nigdy na wsi wartości muzealnej, lecz wyłącznie użytkową. Jeżeli moda zmieniła się, to najpiękniejsze i najmoźolniej wyszywane koszule, chusty, spódnice i fartuchy szły na szmaty jako bezwartościowe. Wśród tych szmat właśnie ukrywają się poematy haftarskie, godne uwagi i zastanowienia się nad genezą tego haftu. Zwraca uwagę przede wszystkim różno-

rodność ściągów, złączonych w doskonały ornament, logiczne umieszczenie wyszycia, celem podniesienia wartości zdobniczej. Jeżeli na wyszywaną koszulę nakładany był wycięty gorset, to haft zdobił tylko tak zwaną „szyjkę“ i dół rękawa.

W innej okolicy, gdzie noszono krajki obciskające pas, wyszywano ramiączka i całe przody wraz ze stojącymi kołnierzykami.

Na całym obszarze Polski od zamierzchłych czasów rozrastały się hafty wszelkiego rodzaju i barwy. W województwach wołyńskim i poleskim do dziś jeszcze ubierają się, zwłaszcza kobiety, w wyszywane stroje, podnoszące ich wdzięk i urodę.

Wobec szerokiej propagandy płótna wiejskiego, zwanego samodzielem, przygotujmy na zbliżające się lato również nasze stroje ze samodziału, który posiada tak rozmaite grubości i rodzaje tkania. Samodziały litewskie są nadzwyczaj równo tkane i pięknie bielone, a po pierwszym praniu stają się miękkie i przytulne jak jedwab. Mają tę wyższość nad jedwabiem, że ani upał nie grzeje, ani mróz nie ziębi, są jakby izolacją naszego ciała przed wpływem atmosferycznym.

Na samodziałach litewskich można bez trudu wyszywać wzory krzyżkowe, nizane, pokładane czy inne.

Podajemy wzór z koszuli wiejskiej kobiety z gminy Rewiatyce na Polesiu Wołyńskim, którą tamtejsza strojnisia wyszyła według własnej mody. Wzór ten tworzą gwiazdy wyszyte krzyżykami czerwoną nicią, a przez środek przeprowadzony jest krzyż czarny. Drobne gwiazdeczki i ozdoby kończące krzyż, wyszyte są ścięciem pokładanym w kolorze czarnym.

Wyszycie takie zdobić może sukienki i fartuszki dziecięce oraz suknie kobiece w mieście. Strojąc tym haftem nasze suknie, możemy umieścić go wokoło szyi, na kieszonkach, lub na rękawach. Na sukienkach dziewczynki wyszyjmy karczek i ramiączka, na dolnej części sukienki dajmy w odstępach pojedyncze gwiazdy, a całość stworzymy bardzo miłą dla oka.

Marja Stefkowa.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Liga Kobiet Pokoju i Wolności z zadowoleniem niezawodnie przyjmuje wiadomość, że „sądy doraźne“, które istotnie niepokoiły swym wpływem wychowawczynie młodych pokoleń, o czym pisaliśmy w uprzednim numerze, zostały z dniem 13 marca r. b. w całej Polsce zniesione

Dr. J. Śmiarowska opracowała bardzo potrzebny i pożyteczny podręcznik p. t. „Higijena macierzyństwa“. Razem z „Higijena młodej dziewczyny“ i „Higijena mężatki“ książka ta stanowi pomoc niezbędną dla racjonalnej opieki nad zdrowiem kobiet, które przeważnie mało posiadają

wiadomości o tem, jak to zdrowie szanować należy, nie mając dokładnych także wiadomości o funkcjach naszego organizmu. Książki te w każdym domu mieć należy.

Związek Pań Domu, który zawsze uważamy za jeden z najpotrzebniejszych, najpożyteczniejszych i pełniących świetnie swe zadanie, na odbytym zjeździe dawał imponującą interesowanie swej pracy sprawozdanie. Kursy, odczyty, pokazy, wystawy, informacje. racjonalne odżywianie, urządzenia kuchni i domu, ułatwienia w gotowaniu, oszczędność w opale, świetle, słowem tysięcy i jedna kwestyj poruszonych przez gruntownie z przedmiotem obeznane panie, składały się na obraz wytężonej pracy o dbałość ogólnego dobra. **P. Marja Romanowa** mówiła o potrzebie

pisma czysto gospodarczego. **Dr. Kucharski** miał odczyt na temat racjonalnego odżywiania rodziny. **P. Ładzina** objaśniała — jak gospodarują „panie domu zagranicą”. **P. Michalina Ulanicka** poruszała sprawę służby domowej. Długie, wyczerpujące dyskusje świadczyły o ogólnym zainteresowaniu zebranych, a uchwały dotyczyły wszystkich dziedzin nowego gospodarstwa, tak bardzo żądającego opieki. Dozór nad środkami żywności — w najszerszych dziedzinach — i dopominanie się u władz odnośnych przepisów — oto plan działalności „Związku Pań Domu” — na najbliższe terminy, w czem należy im życzyć powodzenia, a wywdzięczać się za ich trudy około ogólnego dobra domów naszych zapisywaniem się gromadnie na członków Związku.

Z MINIONYCH CHWIL

Nagrodę muzyczną miasta Warszawy otrzymał znakomity muzyk, zasłużony obywatel kraju, który w czasach niewoli z pieśnią swego umiłowanego zespołu, „Lutni”, jeździł po kraju i krzepił serca tonami swych cudnych pieśni — **Piotr Maszyński**. Po serdecznym i podniosłym przemówieniu przewodniczący wręczył artyście nagrodę, wynoszącą 7.000 zł.

Polska Akademia Literatury odbyła uroczyste posiedzenie, poświęcone 100-nej rocznicy powstania arcydzieła Mickiewiczowego „Pana Tadeusza”. Na uroczystość przybył p. premier **Janusz Jędrzejewicz**, min. **W. R.** i **O. P.** **Wacław Jędrzejewicz** i prezydent miasta p. **Zydrum Kościakowski**, prezes Akademii, p. **W. Sieroszewski** i akademik **Leopold Staff** przemawiali w podniosłych słowach, czcząc pamięć wielkiego poety, **Adama Mickiewicza**.

Pomnik twórcy teatru polskiego, Wojciecha Bogusławskiego, jest oddany do odlewu. Stanie on na placu Teatralnym, przed wejściem do teatru Narodowego. Po drugiej stronie ma stanąć w przyszłości pomnik **Moniuszki**, naprzeciwko gmachu teatru Wielkiego.

Zjazd delegatów z prowincji Związku Artystów Scen Polskich, odbył się w niebywałej powadze i harmonii. Zachwiany jego byt ratuje z energją i umiłowaniem sprawy prezes Związku, znakomity artysta, **Józef Sliwicki**, z pomocą kolegów, pracujących bez oszczędzania sił i trudów. Ze względów oszczędnościowych, uchwalono następny zjazd zorganizować za lat trzy, dając tym sposobem dowód zasłużonego zaufania Zarządowi z jego prezesem, **Józefem Sliwickim** na czele.

Nagrodę literacką imienia Leonarda Reynela, otrzymał znakomity krytyk, wielce utalentowany dramaturg i powieściopisarz — **Adam Grzymała-Siedlecki**.

Delegacja angielskich sfer gospodarczych bawiła w Polsce i badała możliwości wzmożenia wywozu angielskiej produkcji przemysłowej do Polski wzamian za udogodnienia dla naszego eksportu rolnego.

Nowy polski okręt handlowy „Lech”, wyruszył w ub. miesiącu w pierwszą podróż do **Hull**, wioząc jaja bekony, manufakturę i 13 koni.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Matce... na co kierować dzieci? pyta Sz. Pani? Oczywiście, trudno to ryczałtem odpowiedzieć. Dziś już badania naukowe i odnośne instytucje mają często głos rozstrzygający w tych sprawach. Ale, jeśli nas pani pyta o radę — to powiedzielibyśmy: *kierować do szkół handlowych*, bo przecież musimy kiedyś objąć handel we własne ręce. Wymyślamy na nadmiar żydowskiego żywołu w handlu. A co sami robimy, żeby to przezwyciężyć? Szkół dla handlu i administracji mamy 344, o wiele za mało, ale powstanie ich więcej, jeśli będzie więcej kandydatów do ich zaludnienia.

P. M. Pl... w *Zakopanem*. List wysłany — ale czy będziemy mogli Sz. Pani coś poradzić skutecznie? W każdym razie wdzięczni jesteśmy za zaufanie i tak bardzo pochlebne słowa dla naszej pracy w „Rodzinie Polskiej”.

P. M. Bor. w *Katuzynie*. Zakład dla dzieci, nie mogących mieć starannej opieki rodziców, co często nie z ich winy, a z okoliczności życiowych wypływa, polecamy Sz. Pani. Adresować listy należy wprost do założycielki **P. A. Piętkowa**. **Kraków, Groble 19.**

JEDZIEMY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

O pielgrzymkach do Ziemi Świętej powstała już cała literatura. Wymagały one bowiem w ubiegłych wiekach tyłu przygotowań i czasu, że ten, kto się odważył na przedsięwzięcie takiej podróży, uchodził po powrocie w swem mieście i rodzinie za kogoś nawpół świętego,

otoczonego do końca życia specjalną czcią i poważaniem.

Mijały wieki, zmieniały się poglądy i kultury, ale kult Ziemi Świętej pozostał zawsze ten sam. Mało kto tylko dawniej mógł sobie pozwolić na odbycie takiej pielgrzymki, raczej poprzestawano na opowiadaniach tych, którzy wrócili stamtąd wzmocnieni na duchu i pokrzepieni w wierze.

Z biegiem wieków zmieniło się tylko jedno, a mianowicie podróż do Ziemi Świętej została znacznie ułatwioną. Dzięki bezpośredniej komunikacji morskiej i doskonałym połączeniom na lądzie, pielgrzymka, która dawniej wymagała niemal roku podróży i połączona była z wielkimi kosztami, dostępnymi tylko dla możnych wybrańców fortuny, dziś stać się może udziałem szerokiej rzeszy, szukających ukojenia i pocieszenia w modłach na tem jednym, jedynym na świecie miejscu.

Dzisiaj okręty Polskiego Transatlantyckiego Tow. Okrętowego dowożą pielgrzymów za dostępną opłatą z portu w **Constanzy** do **Jaffy**, dając im w czasie podróży opiekę, doskonałą obsługę i możliwość wysłuchania codziennie Mszy św., odprawianej przez polskiego księdza.

Do czasu uruchomienia bezpośredniej komunikacji morskiej polskimi okrętami, pielgrzymi nasi byli zdani często na niedbałą i nie rozumiejącą zupełnie ich języka obsługę zagranicznych okrętów. Dziś czują się doskonale, mogą z łatwością rozmówić się z każdym na statku po polsku i odnosząc wrażenie, nawet na dalekiej obczyźnie, że są jeszcze wciąż u siebie w kraju.

KĄCIK DLA DZIECI

LEŚNE GODY.

W sercu lasu, zdala świata, zdala od ludzkiego gwaru, stał domeczek leśniczego. W samym środku stał on boru. W domku mieszkał pan leśniczy, imci pani leśniczka i Marysia złotowłosa, ta córeczka ich jedyna. Maryś miała złote włoski, modre oczy jak bławatki i pogodą tak jaśniała, jak łąkowe polne kwiatki. Żył dziewczynka samotna, nie widziała dzieci wcale. Choć nie miała towarzyszy, bawiła się doskonale. Rozumiała mowę ptaszków — gdy o świecie wstała zrana, zaraz do niej świergotały: „dzień dobry, Maryś kochana”. Znała wszystkie grzyby, zioła, na jagody szła z króbeczką i goniła na wyścigi z rudozłotą wiewióreczką. A w świąteczny czas spoczynku imci pani leśniczka, bierze Maryś na kolana i tak prawić jej zaczyna: jak to ludzie w świecie żyją, jakie są ich różne sprawy, jakie to w młodości swojej znała bale i zabawy. To utkwili Maryś w główce, ciągle myśli — pełna żalu — „żeby to ja choć raz w życiu mogła być na jakimś balu”!

Raz w czerwcowe popołudnie znużona skwarem słoneczka, siadła w boru popod dębem, wtem się czerwona czapeczka mignie w trawie przed oczyma, wyciągnęła Maryś rękę i — o dziwo! W rękę trzyma wielką na palec panienkę. Postawiła ją na dłoni, a ta jej się pięknie skłoni, ujawni suknię w paluszki i tak rzecz, roześmiana, do zadziwionej dziewczynki: — Maryś miła, racz wysłuchać; wyłożę ci sprawę krótko — dziś borowik, król grzybkowy, żeni się z leśną jagódką. Na wesele to proszeni wszyscy, którzy żyją w borze, przyjmując nasze zaprosiny zechcesz i ty, Maryś, może. Ja jestem siostra jagódki i przeze mnie to na gody, na weselny bal czerwcowy, proszą młoda cię i młody. — Ale czemu mnie prosicie? — Boś ty leśne dziecię nasze, kochasz kwiaty i owady, nie boisz się ciebie ptaszek... Ucieszyła się Marysia, aż do góry podskoczyła, że będzie wreszcie na balu, ale wnet się zasmuciła, że ona jest taka duża, a jagódka taka mała, jakby tańcować zaczęła, toby wszystkich rozdeptała! Na to znajduje się wnet rada — jagódka jej odpowiada. — Nic się nie trap, Marysyczko, bo w tym dębem mieszka właśnie leśny dziadek. Niech on tylko trzy razy w rękę zakłaśnie, potem szepnie trzy zaklęcia, trzykroć dotknie cię laseczką — wnet się tak maleńką staniesz, jako i my, ma dziewczeczko. — Tobie cudnie, cudnie było... ale mamaby płakała, gdyby taką córuś miała, coby w kieszeń ją chowała! — powie Maryś zatroskana, lecz pociesza ją jagódka, że spowrotem będzie duża, gdy minie noc wiosny krótka. Już Maryś uspokojona, więc się obie roześmiały i w korę dębu starego trzykroć śmiało zapukały. Wyszedł do nich leśny dziadek, więc się pięknie pokłoniły i swą prośbę w krótkich

słowach, jak na dłoni wyłożyły. Kiwnął dziadek siwą brodą, i tak z uśmiechem powiada, skoro Maryś chce tańcować, to się musi znaleźć rada. Dla Marysi leśniczki, wszystko jestem zrobić gotów, bo szanuje gniazda ptasie i od złych je broni kotów. Wyleczyła raz zajaczka, za pan brat jest z wiewióreczką... A więc czary rozpoczynam: zamknij oczęta, dziewczeczko! Szuru buru, szuru bór, już potrzykroć zapiał kur, paratań, paratań, jako chcę tak się stać. No a teraz otwórz oczy! — Ojej! co się to stało — wykrzyknie Maryś zdziwiona — wszystko wokół zolbrzymało!

Już gotowy pojazd stoi: z brzozy kora kształt łódeczki, otaczają go wokoło modropióre sikoreczki. Ledwo wsiedli wszyscy troje i już wznoszą się ponad chmury, niesie łódkę tę brzozową sześć sikorek modropiórych. Zanim Maryś się spostrzegła, spuścili się na polanę, gdzie już całe towarzystwo weselne, było zebrane. Imc Borowik narzeczony w bronzowej krągłej czapeczce, stał przy krasnej jako zorza pannie młodej — Jagódeczce. Dalej grzybki i jagody, bliscy krewni panny młodej. Potem skoczne wiewióreczki i żabek zielonych krocie i orkiestra świerszczy cała, leśne żuki całe w złocie. Polne myszki trzymające z wdziękiem w dwu łapkach ogonki i robaczki świętojańskie, czerwone w kropki biedronki. Ktoby zliczyć mógł ich wszystkich, dość, że wszyscy się wybrali na wesele, kto żyw w lesie z mieszkańców, duzi i mali. Gdy wysiadła Maryś z łódki z nią Jagódka, dziadek stary, powitały ich srebrzyste, rozgłosne tony fanfary. Tylko na nich już czekali, wnet zaczęła się zabawa. Tnie orkiestra, a od ucha! I para za parą stawa. To polne koniki grają, mistrze na skrzypczkach, basach. Na bębnie takt bąk wybija, aż echo idzie po lasach. Zaczęli od poloneza, potem mazur posuwisty, po nim roześmiany krakowiak i kujawiak ten siarczysty. A kiedy orkiestra utnie, tak od ucha, obertasa, to się porwie stary młody i już wszystko wokół hasa. Jakie to tam tany były, jakie żabek cudne chóry, jak weselną sutą ucztę, miesięczek oświetlał z góry. Ile radości i śmiechu — i wtem tylko cała bieda, że choćby rok cały pisał — opisać się tego nie da. I byłaby, Maryś mała, tak bez końca się bawiła, ale sowa zahukała i zabawa się skończyła. W głowie się jej zakręciło. Gdy oczęta otworzyła, znalazła się na polanie, z której na bal wyruszyła. Wszystko wokół zwykle było, tylko jedna piosnka rzewna, słowikowa pieśń dzwoniła, że minęła baśń wiosenna.

H. Rostafińska-Choynowska.

W MAJU

*Przyszłi maj pachnący
Miesiąc Matki Bożej,
Bzy wonne, narcyzy
Pod stopki jej złoży.
Polnym kwiatem strojne
Łąki roześmiane
I ptaszęce chóry
Wiosną rozśpiewane.
I my też niesiemy
Serca rozmodlone:
Weźże nas: Mateńko,
Pod Twoją obronę...*

H. R. Ch.

MOJA ŁÓDECZKA

*Ta łódeczka z kory
Żagiel ma z listeczka,
Zdaleka ją widać
W promieniach słoneczka.
A gdzież ta łódeczka
Tak przedziutko płynie?
Oj! Tak mknie Wisetka,
By zobaczyć Gdynię,
By zobaczyć Gdynię,
Nasze polskie morze...
Fale ją kotyszają —
Pomagaj jej, Boże!*

H. R. Ch.

DRUGI KONKURS KWARTALNY

(ciąg dalszy)

Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

5. ANAGRAM (3 pkt.)

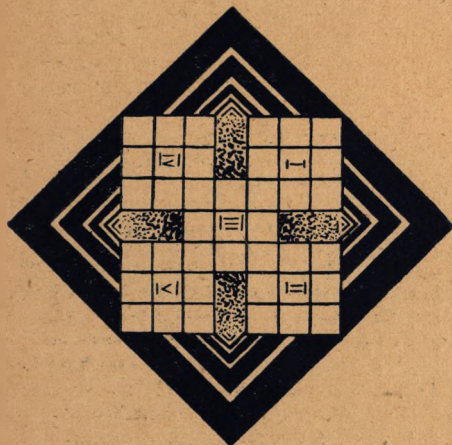
Jeśli masz chęć
weź liter pięć —
i ułóż cztery słowa
o których niżej mowa:

Pierwsze są ze sportu
rzeczą dobrze znaną,
drugie zaś w odzieży
ma wypustek miano.
Trzecie w liczbie mnogiej
nazwa tłustej cieczy,
która z wielu zalet
ma i tę, że leczy.
Czwarty człek okrutny
nieraz z miłą twarzą, —
mianem tem dość często
panie mężów darzą.

W. Gasperski.

6. KWADRATY MAGICZNE

(po 1 pktle — razem 5)



W każdym z 5 kwadratów podanej figury wpisać po trzy wyrazy trzyliterowe, o następujących znaczeniach:

I Kw.: 1. Roślina. 2. Miasto w Finlandji. 3. Zwój włosów.

II Kw.: 1. Naczelnik w Turcji. 2. Zwierzę poł. afrykańskie. 3. Termin sportowy.

III Kw.: 1. Bryła lodu. 2. Cios (uderzenie). 3. Imię cyganki.

IV Kw.: 1. Zabawa. 2. Przyrząd gimnastyczny. 3. Dokument.

V Kw.: 1. Piwo. 2. Bożek domowy u Rzymian. 3. Epoka.

M. Doktorczyk.

7. ZAGADKA (3 pkt.)

„Kontrast do nagrody“, głoskę, oraz zwierzę (lecz w przypadku drugim) — postaw w [jednym rzędzie, a zabawna całość cię ucieszy szczerze, bo to jest dziwoląg dobrze znany wszędzie.

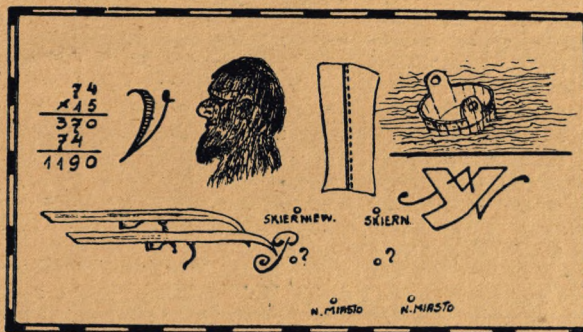
W. Gasperski.

ROZRYWKĘ DLA ROZRYWKI

znajdziesz prawdziwą w „ROZRYWCE“, której numer 5 (17) majowy opuścił już prasę. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł, Konto PKO, nr. 2048. Adres: Klub Szaradzystów, Warszawa, Żórawia 45 m. 10. Pojedyncze numery do nabycia także w kioskach „RUCHU“. Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

8. REBUS (5 pkt.)

Proszę odczytać treść rebusu złożoną z 7 wyrazów, których początkowe litery są: b, n, z, w, n, w, s.



T. Sobecki.

9. KONIKÓWKA (7 pkt.)

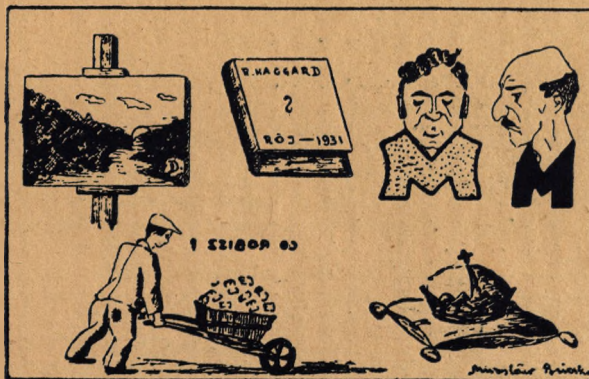
Posuwając się ruchem konika szachowego należy odczytać rozwiązanie.

BIE	NIECH	TY	WALCE	BY	BIE	WE	NA	DO
BY	RWY	BIE	LIE	SZAK	I	CI	WCIĄŻ	MELE
GRZE	SIE	CEL	NIE	KAZ	ZWY	ZA	WALK	PRIOD
PRZE	PRZE	SWÓJ	ZA	PO	NA	DY	SIE	JU
ZA	GO	PATrz	NY	BIE	SIE	CIE	DAŻ	NIE
BĄ	BEZ	SŁON	ZNACZ	WY	KROK	GOŃ	TRZEJ	SKRYE
SWYCH	PO	BRA	I NIE	CEM	STNEM	BIE	ZBRA	I NIE
BĄ	TO	NIE	KIR	CI	GO	SIE	NOC	SZĄ
PATrz	ACH	DO	ZA	ACH	W	NE	PATrz	KŁO

J. Maziarz, czł. Kl. Sz.

10. REBUS (5 pkt.)

Należy odczytać rozwiązanie, składające z 5 wyrazów (znane przysłowie)



M. Sz. A. Budko czł. Kl. Sz.

ZE ŚWIATA RADJA

Walka z przeszkodami atmosferycznymi

Kiedy w radjowym czasopiśmie amerykańskim „Radio News” z czerwca 1924 r., przedstawił pewnej firmy radjowej oświadczył, że firma jego wypłaci chętnie pół miliona dolarów temu, kto wynajdzie prawdziwie skuteczny eliminator trzasków i przeszkód atmosferycznych, dołączy on tylko oliwy do ognia, który palił się od wielu lat. Najbardziej bowiem fascynującym problemem w radjotechnice i celem dla wszystkich elektryków, przed nadejściem fal krótkich, było zwalczanie przeszkód i liczba opatentowanych układów przeciwtrząskowych sięga cyfr astronomicznych. Praktycznie jednak — żaden z tych opatentowanych wynalazków nie wytrzymał próby handlowej eksploatacji i, z wyjątkiem może fal krótkich, przeszkody atmosferyczne stanowią obecnie taki sam problem do rozwiązania jak i dawniej. Sprawozdania z poszukiwań, dokonanych na tem polu przez kompanie radjowe oraz laboratoria rządowe, wypełniły całą bibliotekę, a przeszło 50.000 fotografii oscylograficznych zebrał sam Radio Research Board w Londynie. A jest to zaledwie cząstka pracy, przeprowadzonej na falach długich i krótkich we wszystkich częściach świata. Przez przeszkody atmosferyczne rozumiemy oczywiście trzaski elektryczności atmosferycznej, a nie przeszkody, wywołane przez rozmaite instalacje elektryczne, tramwaje, aparaty lekarskie, odkurzacze, złe kontakty i t. p.

Uczony rosyjski Popow, robiąc doświadczenia z galwanometrem i koherelem stwierdził, że gdy te dwa przyrządy były dołączone do pionowego przewodnika, strzałka galwanometru wychylała się w gwałtowny, a nieregularny sposób. Spostrzeżenia te miały miejsce na długo, zanim w eterze pojawiły się jakiegokolwiek sygnały radjowe. Były to więc pierwsze jaskółki przeszkód atmosferycznych. Gdy później Marconi po raz pierwszy przesyłał z Anglii sygnały radjowe stwierdził również, że „coś” mu przeszkadzało w odbiorze. Te dziwne trzaski, zgrzyty i dudnienia, pochodzące nie wiadomo skąd otrzymały nazwę „atmosferyków” i odrazu rozpoznano w nich poważną przeszkodę dla rozwoju komunikacji radjowej. Zaczęły się więc ukazywać liczne urządzenia i układy dla wyeliminowania tych przeszkód i tendencja taka trwa aż po dziś dzień.

Zastosowanie układu kompensacyjnego

Jednym z najlepszych schematów przeciwprzeszkodowych był układ Johna. Zastosował on w swym układzie dwie anteny odbiorcze, odległe od siebie o pół długości fali, a pośrodku między nimi stała antena nadawcza. Układ ten był zasadniczo przeznaczony do odbioru pomimo interferencji z własnym nadajnikiem, a to przez zrównoważenie działania tego ostatniego w obu antenach, załączonych przeciw sobie. Poza tem jednak, jak głosi patent, można stosować system dla eliminacji przeszkód atmosferycznych.

Ideja zrównoważenia, była motorem większości późniejszych wynalazków. Be Forest w r. 1902, Fessenden w latach 1903 do 1907, Pickard, w r. 1907, Marconi w r. 1909 — wszyscy oni opatentowali systemy, które miały eliminować przeszkody atmosferyczne i inne interferencje. W późniejszych la-

tach Weagant, Taylor, Austin i Armstrong — wybieramy te nazwiska z pośród wielu innych — ogłosili swe prace, w których wskazywali zalety różnych obwodów dla zwalczania przeszkód. I chociaż próbowano i innych metod, jak anten ekranowych, układów ograniczających itp. żaden z tych ostatnich nie był tak dokładnie zbadany, jak kompensacja. Zasada zrównoważenia jest o wiele starsza, niż radio. Rozumiano ją już i stosowano w mostku. Wheatstone'a prawie sto lat temu. Działanie jej można sobie wytłumaczyć przez twierdzenie, że jeżeli dwa identyczne prądy przechodzą przez ten sam obwód, lecz w przeciwnym kierunku, to prąd wypadkowy będzie zero. To samo dotyczy również i pola magnetycznego, elektrycznego itp.

Tradycje kukulki wileńskiej

Popularny sygnał radjostacji wileńskiej, który skwapliwie został skopjowany przez kilka innych rozgłośni europejskich, ma — jak się okazuje z badań ks. dr. Piotra Śledzińskiego — swych poprzedników w regionalnej tradycji. W XVIII wieku w kościołach wileńskich, zwłaszcza w kościele OO. Bernardynów, zbudowane były organy, które, pośród innych tonów, naśladowały również głos kukulki. Głos kukulki łączył się z tradycją pobożnych czcicieli św. Franciszka, który nadewszystko umiłował ptaszęta Boże. „Bracie zórawiu — pisze bowiem stara kronika franciszkańska — a depcz zdrowo, siostrko kukawko, a kukajże głośno i wróż nam wielką liczbę szczęśliwych dni i zdarzeń”.

Lud, który na wiosnę wróży sobie szczęście z kukania kukulek, słysząc głos ten codziennie przez radio wileńskie, znajduje w niej netylko echa swej prastarzej tradycji, ale również i odgłosy dawnych zwyczajów kościelnych, dziś już zarzuconych.

Radjowy kult Mickiewicza

Rozgłośnie Polskiego Radja transmitują raz w miesiącu audycję poświęconą w całości Adamowi Mickiewiczowi. Audycje te swym poziomem i podniosłym nastrojem wzbudzają wielkie zainteresowanie najszerzych warstw radjosłuchaczy, dobrze będzie więc przypomnieć ich genezę. Tradycja mickiewicza w Wilnie, ukochanem mieście poety, jest żywa. Miejskowy Związek Literatów, mający swą siedzibę w murach b. więzienia filomatów w klasztorze pobazylijańskim urządził od r. 1923 środy literackie, poświęcone Mickiewiczowi. Z tych właśnie posiedzeń wyrosły radjowe audycje ku czci Wieszcza. Celem tych audycji było netylko rozpowszechnienie w społeczeństwie polskim wiedzy o Mickiewiczu, ale również przekonanie słuchaczy, że największy poeta polski jest wciąż aktualny i że twórczość jego może być wartościowym pokarmem duchowym dla dzisiejszego człowieka. Radjowe wieczory mickiewiczowskie są najlepszą propagandą żywego Mickiewicza, czego dowodem są entuzjastyczne listy radjosłuchaczy, dziękujących z wdzięcznością za odsłuszenie w ich pamięci arcydzieł naszej literatury. Każdy wieczór poświęcony jest jednemu zagadnieniu, a więc Państwowemu Wydaniu Dzieł Wszystkich Mickiewicza, artyzmowi Mickiewicza, poezji Filomatów, stuleciu „Pana Tadeusza” i religijności Mickiewicza. „Wieczory

Mickiewiczowskie”, poza przemówieniami najwybitniejszych znawców dziejów literatury, obejmują również deklaracje utworów poety oraz występy solistów i chórów, którzy wykonują muzyczne kompozycje na temat utworów Mickiewicza. „Wieczory Mickiewiczowskie” nadawane będą przez Polskie Radio do czerwca włącznie, poczem po przerwie wakacyjnej zacznie się w jesieni nowy cykl. Projektuje się wydanie specjalnej książki w której zebrane będą teksty radjowych „Wieczorów Mickiewiczowskich”.

Prace nad programem letnim Polskiego Radja

Wobec zbliżającego się sezonu letniego Polskie Radio przygotowuje obecnie radjowy program na ten okres. W przeciwieństwie do lat poprzednich, kiedy program letni ze względu na wyjazdy najlepszych sił artystycznych i związane z tem trudności w układaniu wysokowartościowego programu, był przeważnie nieco niższy od zimowego — w obecnym roku program letni ma w niczem nie ustępować poziomowi audycji zimowych. Radjosłuchacze, którzy mieli sposobność przekonać się jak bogaty, urozmaicony i atrakcyjny program dawało Polskie Radio w bieżącym roku, przyjmą to zapewnienie z prawdziwą radością, gdyż pozwoli ono im korzystać z radja również w czasie miesięcy letnich.

Prace nad układaniem programu letniego są w pełnym toku i będą już w ciągu najbliższych kilku tygodni ukończone. Wszystkie Wydziały Polskiego Radja pod przewodnictwem Dyrekcyj Programowej i wszystkie Komisje Głównej Rady Programowej opracowują projekty, które staną się podstawą programu letniego. Projektuje się zwiększenie transmisji z życia i reportaży ze studja, które w tym roku obejmować będą szeroki zakres od zagadnień państwowych i społecznych aż po szare troski codziennego życia.

Japoński przemysł radjowy atakuje Europę

Cała prasa europejska przepełniona jest artykułami omawiającymi szkody jakie wyrządzić może gospodarce światowej dumping Japonji. Zwłaszcza prasa angielska alarmuje rząd o konieczności przedsięwzięcia energicznych zarządzeń, któreby uratowały eksport angielski na rynkach Dalekiego Wschodu i dominjów. Już obecnie na terenie Japonji nie sprzedaje się żadnych aparatów radjowych obcego pochodzenia. Cały rynek wewnętrzny został opanowany przez subwencjonowany silnie przemysł radjotechniczny japoński. Gospodarce „żółte niebezpieczeństwo” dało się odczuć również na terenie Południowej Afryki, gdzie ukazały się w sprzedaży aparaty radjowe japońskie, które są o wiele tańsze od aparatów pochodzenia angielskiego. Dla ochrony interesów angielskich, Południowo Afrykański Związek Sprzedawców Sprzętu Radjowego powziął uchwałę zabraniającą swym członkom handlu aparatami japońskimi pod rygorem wykluczenia niesolidnego członka ze Związku. Donoszą również z Francji, że w Marsylii ukazały się również w handlu aparaty radjowe japońskie. Rząd zastanawia się nad środkami, któreby zahamowały inwazję przemysłu japońskiego na rynek francuski.